



ZA ROK — NA SCENIE

ale dziś jeszcze w szkolnej sali
popisują się tańcem klasycznym
uczniowie Liceum Choreograficznego
w Budapeszcie, które kształci
tancerzy dla węgierskiego baletu.

Mariano Reismann — Magyar Foto

SWIAT NASZA KRONIKA

TELEWIZJA to piękny i pożyteczny wynalazek ostatnich czasów. Będziemy bardzo zadowoleni, gdy nasza telewizja wyjdzie wreszcie z doświadczalnych powijaków i rozwinie się na szeroką skalę. Będzie to nowy środek przekazywania myśli ludzkiej, wzruszeń ludzkich, wiedzy i doświadczenia, cenny element rozrywki i szerzenia kultury.

W wielu już krajach telewizja bardzo się rozwinęła. Jak wszystko — rozwinęła się w zależności od stosunków, panujących w danym kraju. W Związku Radzieckim czy w Czechosłowacji w nowy sposób spełnia telewizja te zadania, które i u nas spełniać będzie, a które zbyt często chyba raz jeszcze wyliczać. Potężnie również rozwija się telewizja w Stanach Zjednoczonych. Jej programy poświęcone są niemal wyłącznie zbrodni i pornografii. Telewizja amerykańska powoduje zanik innych, wegetujących tam sposobów przekazywania sztuki, jak na przykład teatr. Ba, powoduje nawet kryzys w narodowym przemyśle USA — w kinematografii.

Jednym słowem, telewizja amerykańska niszczy resztkę społecznych sposobów odczuwania sztuki. Telewizja w Ameryce zmierza do wyrugowania teatru, filmu, tak jak książka została już wyrugowana przez comics. Kiedyś toczyły się takie dyskusje na temat: czy kino spowoduje likwidację teatru, czy radio zmusi do zaniknięcia sal koncertowych? Dyskusje okazały się bezpłodne: kino i radio rozwijać się mogą nie kosztem teatru czy filharmonii, ale obok nich, równoległe z nimi. Wynalazki dwudziestego wieku, takie jak kino, radio i telewizja wcale nie muszą przyczyniać się do likwidacji starych i wypróbowanych sposobów rozwoju i upowszechniania sztuki jak książka czy teatr. Właściwie użyte te nowe sposoby techniczne mają wzbogacać dotychczasowe drogi oddziaływania sztuki i pomagać tym dawnym. Nie ma mowy o likwidacji jakiegos sposobu, gdyż każdy z nich w swoisty inny sposób przekazuje sztukę i naukę, służy do porozumiewania się ze sobą ludzi, służy do rozwijania ducha ludzkiego.

Telewizja to wcale nie ma być radio, które widać (radio z lufcikami — jak mówi Wiech), czy też kino w domu, czy też teatr na odległość. Telewizja ma swoje właściwości, swoją specyfikę nowego, innego przekazywania sztuki. Jej rozwój nie oznacza, że nie będzie już ani radia, ani książek, ani teatru, ani kina, ale że obok tych sposobów przybywa nam nowy, wzbogacający te dawne.

Wszelkie próby zastępowania telewizją czegokolwiek są oczywiście nonsensem.

NA PRZYKŁAD próba, której dokonano niedawno w Stanach Zjednoczonych przed samymi wyborami. Polegała ona na tym, że przed obiektywem telewizji zaaranżowano posiedzenie rządu tego kraju. Przewodniczył prezydent Eisenhower, a sprawozdanie z konferencji londyńskiej składał Dulles. Inni ministrowie również zabierali głos. W ten sposób partia republikańska starała się nawiązać kontakt z wyborcami i po-

zyskać ich głosy dla utrzymania swej większości w Senacie i w Izbie Reprezentantów, co, jak wiadomo, się nie udało.

To posiedzenie amerykańskiego gabinetu ministrów w telewizji nie miało charakteru normalnego widowiska telewizyjnego. O nie! Tu chodziło o to, by telewizja coś zastąpiła. I nie teatr, i nie kino i nie radio. Po prostu według chytrego planu republikańskich propagandzistów telewizja ma zastąpić... demokrację.

No bo rzeczywiście, jeśli każdy obywatel (oczywiście posiadający aparat telewizyjny i mieszkający w zasięgu działania stacji telewizyjnej) może, siedząc u siebie w domu, widzieć i słyszeć, co się dzieje na posiedzeniu rządu w Białym Domu, czyż to nie szczyt demokracji?

TAK by się na pozór mogło wydawać. W rzeczywistości telewizja pozostaje zawsze tylko telewizją, teatrem, kinem, radio radiem, a książka z wierszami Whitmana, wspaniałego poety amerykańskiego, książką pięknych wierszy. Telewizja również zostaje tylko telewizją i nie staje się nigdy demokracją, choćby w niej występowali sami czołowi rządowi politycy w programie zawierającym posiedzenie gabinetu.

Demokracja to jest demokracja, a telewizja to jest telewizja. Telewizja to nie demokracja chociażby dlatego, że widz i słuchacz może tylko patrzeć i słuchać, a sam nie może się odezwać. Właściwie może, tylko nikt tego nie będzie słuchać — poza jego czterema ścianami i jego rodziną.

Oto istota sprawy. Wybory amerykańskie to też taka telewizja: gadają do obywatela amerykańskiego i pokazują mu różne rzeczy, ale on sam nie może powiedzieć, bo ma do wyboru praktycznie tylko między dwiema partiami reprezentującymi ten sam światopogląd i podobne interesy monopolu, a nie interesy narodu. Cóż może uczylić zniechęcony i zezłoszczony, zaniepokojony klient telewizji? Może przekreślić gałkę i nastawić aparat na inną stację. Tak właśnie uczynił widz-obywatel amerykański. Zaprotestował przeciwko szaleńczej polityce republikańców, przeciwko polityce Dullesów, McCarthy'ch i innych.

Naród amerykański nie ma swobody wyboru, jest praktycznie przez ową telewizyjną demokrację tak ubezwłasnowolniony jak jest ubezwłasnowolniony klient telewizji. Może więc albo machnąć na wszystko ręką (jak to robi większość wyborców, nie biorących udziału w wyborach w ogóle), albo głosowaniem na przeciwników potępić rządzących — z pełną świadomością, że ci przeciwnicy niewiele różnią się od rządzących.

Ale protest pozostaje protestem i stanowi ważny element wewnętrznej polityki amerykańskiej i jej polityki zagranicznej. Naród amerykański nie chce wojny i awantur, nie chce bezrobocia i rządów monopolu. To jest prawda wyborów amerykańskich, która wychodzi na jaw poprzez bezradność poddanych rzekomej „demokracji“.

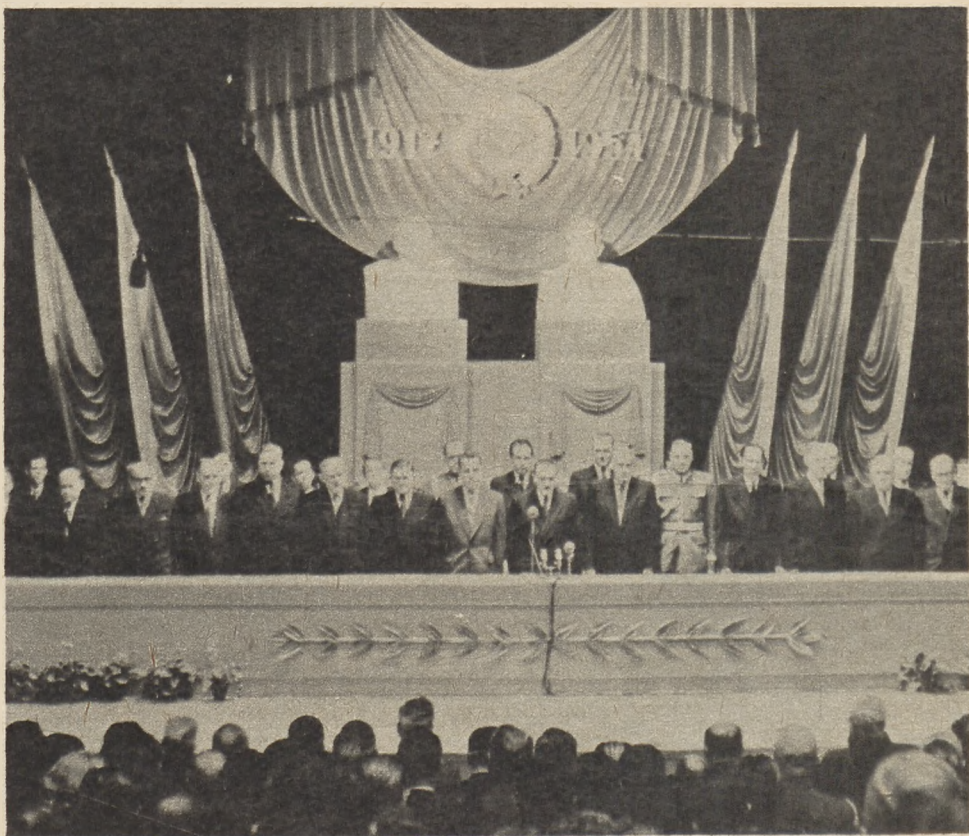
JAN SZELAĞ

Z KRAJU I ZE SWIATA

Z KRAJU I ZE SWIATA

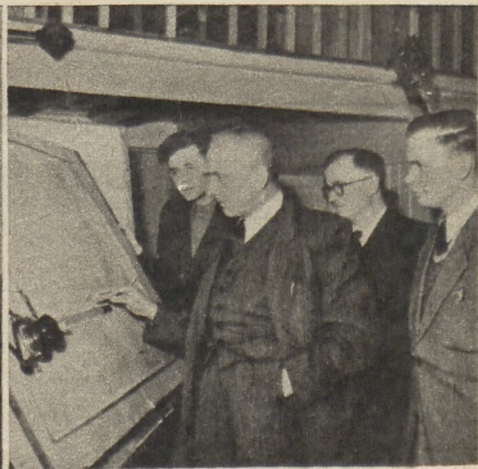
Z KRAJU I ZE SWIATA

W 37 ROCZNICĘ REWOLUCJI



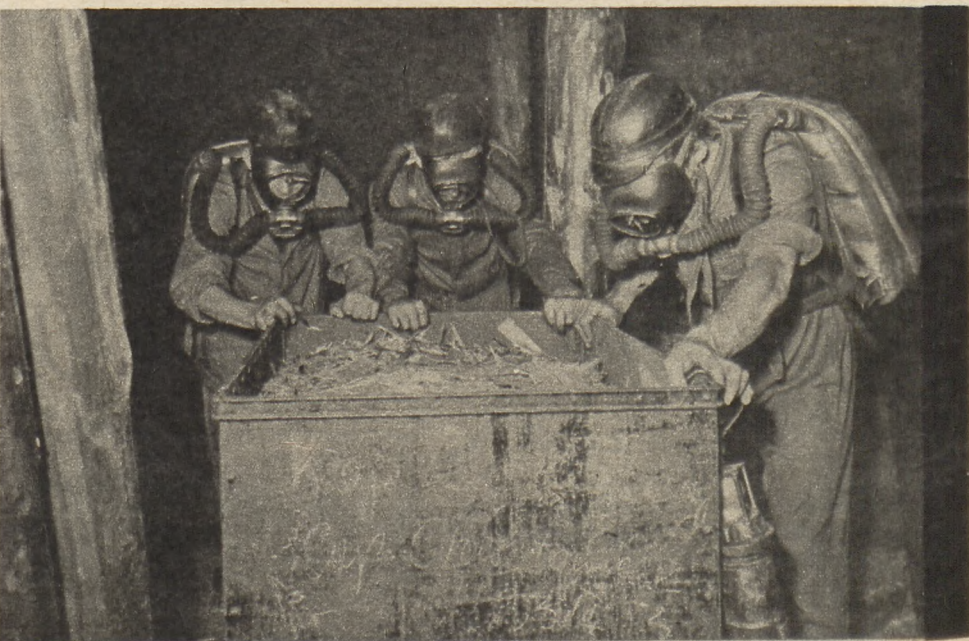
Z okazji 37 rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej odbyła się 6 bm. w sali Państwowego Teatru Polskiego w Warszawie uroczysta akademii, zorganizowana przez Komitet Centralny PZPR. Akademii przewodniczył I Sekretarz KC PZPR, Bolesław Bierut, który powiedział m. in.: „Wraz z masami pracującymi całego świata naród polski przesyła dziś, w trzydziestą siódmą rocznicę Rewolucji, bratnim narodom radzieckim najgorętsze pozdrowienia i życzenia dalszych sukcesów...“

PRZYGOTOWANIA DO WYBORÓW TRWAJĄ



Wyłożone do wglądu listy wyborców wzbudzają wielkie zainteresowanie. Na lewo: studenci łódzcy sprawdzają swe nazwiska na listach Obwodowej Komisji nr 167. Po prawej: kandydat na radnego, konstruktor maszyn okrętowych, prof. Polak z Gdańska, omawia ze współpracownikami nowe projekty i plany maszyn.

SZKOLENIE RATOWNIKÓW W GÓRNICTWIE



Centr. Stacja Ratownictwa Górniczego w Bytomiu szkoli kadry przyszłych ratowników kopalnianych. Na zdjęciu: ćwiczenia w specjalnej komorze doświadczalnej.

ODBUDOWANY RATUSZ POZNAŃSKI



CAF

W Poznaniu zakończono niedawno odbudowę historycznego Ratusza, jednego z najpiękniejszych zabytków w tym mieście.

PO KATASTROFIE WE WŁOSZECH



Keystone

Huragan o nienotowanej sile spowodował niedawno olbrzymie szkody w prowincji włoskiej Salerno. Katastrofa powodzi, po huraganie, pociągnęła za sobą śmierć 300 osób. Dalszych 5.000 osób znajduje się bez dachu nad głową. Zorganizowana przez ludność akcja pomocy uratowała życie wielu rannym.

WYSTAWA POLSKIEGO FILMU



CAF

Z okazji tygodnia „Przeglądu Filmów Polskich” w hallu stołecznego kina „Moskwa” i w centralnych kinach miast wojewódzkich — zorganizowane zostały wystawy pt. „Poznajemy Polską Kinematografię”.

FRANCIS CREMIEUX

WEHRMACHT W OPAKOWANIU ZASTĘPCZYM

Korespondencja własna „Świata” z Paryża

OD mniej więcej połowy października Paryż stał się terenem wzmożonej działalności dyplomatycznej. Rozmowy Mendes France — Adenauer, konferencje Czterech, Dzielęciu i Paktu Atlantycznego, wszystkie te rozmowy i spotkania następowały jedno po drugim, oddzielone jedynie oficjalnymi komunikatami, głoszącymi chwałę kolejnego „Porozumienia”. Prowadzona przez rząd propaganda usiłowała jednocześnie przesłonić fakt odbudowy Wehrmachtu i włączenia odwetowców z Bonn do paktu atlantyckiego. Użyto nawet w tym celu specjalnej zastony dymnej w postaci „pojednania francusko-niemieckiego” oraz pertraktacji gospodarczych. W rzeczywistości rzekome pojednanie było raczej nową ugodą pomiędzy magnatami Zagłębia Ruhry a Wendelami, Schneiderami i akcjonariuszami fabryk Creusota, nowym porozumieniem tych samych kół kapitalistycznych, które przed dziesięcioma laty „współpracowały” ze sobą w zbrojnym dostarczaniu materiałów wojennych hitlerowskiemu Wehrmachtowi.

NOWY CHWYT

Szybkość, z jaką prowadzono rokowania, świadczyła zarazem, że uczestnicy ich postawili chęć zachowania opinii publicznej przed „faktem dokonaniem”. Mendes France, który zyskał reputację „człowieka przybywającego na spotkanie o oznaczonym czasie”, nie prostował też głośno lansowanych hipotez, stwierdzających, że Zgromadzenie Narodowe jeszcze w roku bieżącym udzieli ratyfikacji ukladom londyńskim. Krótko mówiąc — wszystko pozwalało wnioskować, że zwolennicy remilitaryzacji Niemiec zachodnich pragnęli ubiec protest społeczeństwa francuskiego, którego nacisk na deputowanych doprowadził już do odrzucenia EWO. Naucone gorzkim doświadczeniem koła „europejskie” postanowiły użyć tym razem nowego chwytu. Miał on polegać po prostu na jak najszybszym przepchnięciu w parlamencie sprawy ponownego uzbrojenia Wehrmachtu — tak, by patriotyczne środowiska francuskie nie miały czasu na zorganizowanie ogólnonarodowego protestu przeciw ukladom.

POBOŻNE CHĘCI I PRZYKRE NIESPODZIANKI

Autorów tych projektów czekały jednak przykre niespodzianki. Społeczeństwo francuskie bowiem nie okazało się bynajmniej

skłonne do przyjęcia za dobrą monetę zdumiewających enuncjacji, dowodzących wbrew logice, że „aby przystąpić do rozbrojenia, trzeba najpierw uzbroić Niemcy zachodnie”, albo, że „aby rokować ze Wschodem — trzeba najpierw wprowadzić Bonn do antyradzieckiej koalicji”. Społeczeństwo francuskie domaga się nie od dziś polityki wręcz odwrotnej, zasadniczo różniącej się od polityki nienawiści i przygotowań do wojny. Komitet Centralny Francuskiej Partii Komunistycznej, zebrany w dniu 15 października, raz jeszcze wskazał właściwy kierunek działań. Wezwał on do skupienia całej energii narodu dla zagrożenia drogi zwolennikom remilitaryzacji Niemiec. Jedność narodu, która była już dostatecznie silna, aby narzucić zawieszenie broni w Indochinach i obalenie EWO — nie tylko nie osłabła, ale — odwrotnie — wzmożła się po zwycięstwach stanowiących rezultat siedmioletnich walk.

Próbując też powstrzymać dalszy wzrost sił frontu pokoju we Francji, Mendes France raz po raz przedkładał propozycje współpracy kierownictwu partii socjalistycznej SFIO, które, jak pamiętamy, wypowiedziało się na rzecz EWO pomimo sprzeciwu działaczy partyjnych. Stwierdzając zanieśnięcie się solidarności robotników-komunistów i robotników-socjalistów, gabinet obawiał się upadku obecnego kierownictwa SFIO, fakt, który byłby bardzo nie na rękę kołom agresji. Koła te pragnęłyby, ażeby francuscy robotnicy-socjaliści oriento wali się na Adenaura i spółkę, choć przeciw Adenauerowi występują socjaliści większości krajów Europy, poczynając od socjaldemokratów Niemiec zachodnich. Pragnienia te pozostały jednak przysłowiowymi pobożnymi życzeniami: każdy dzień przynosił nowe przykłady wspólnych akcji komunistów i socjalistów. Jest to dopiero początek, ale już dzisiaj przykłady te są o wiele bardziej liczne i znamienne niż analogiczne wystąpienia z roku ubiegłego. Cierpliwa walka francuskich komunistów o odbudowanie jedności komunistyczno-socjalistycznej odnosi z dnem każdym coraz większe sukcesy.

Ani grzmiące frazesy, ani tryumfalne zapewnienia oficjalnych komunikatów nie mogą więc niczego zmienić. Jedyny problem, jaki stoi na porządku dziennym, to: wojna czy pokój. Pokojowe współistnienie w oparciu o zbiorowe bezpieczeństwo czy szaleńczy wyścig zbrojeń. Porozumienie w sprawie Niemiec czy polityka siły. Na wszystkie te pytania Francuzi udzielają od-

powiedzi wyrażających poparcie dla polityki pokoju i odprężenia międzynarodowego. Odpowiedzi te nie mają też nic wspólnego ze stanowiskiem zajmowanym przez rząd Mendes France'a. Jest bowiem rzecz, o której milczą oficjalne komunikaty: szersze koła społeczeństwa w miastach i wsiach ogarnięte są uczuciem ogromnej niefuochi wobec każdej próby wskrzeszenia sił zbrojnych niemieckiej agresji. Zapewne, francuskie masy pracujące przywiązane są do zasady internacjonalizmu i chętnie powitałyby rzeczywiste i pokojowe porozumienie francusko-niemieckie. Uczucia te pragnęłyby zresztą wykorzystać w swoim czasie reakcyjne gabinety (szło wtedy o EWO przedstawianą jako rzekome „ugrupowanie ponadnarodowe”) i dla bardzo podobnych celów obecny rząd chętnie szermuje zdaniem o „francusko-niemieckim pojednaniu”. Społeczeństwo francuskie chodzi jednak o pojednanie pomiędzy narodami, a nie pomiędzy wielkoprzemysłowymi rekinami jednoczącymi się przeciwko własnemu narodowi z błogosławieństwem amerykańskiego i angielskiego imperializmu.

NOWY ERSATZ

Właśnie teraz rozpoczęły się też bardzo istotne trudności dla zwolenników nowego ersatzu EWO. Teza rządowa o „równoległych rokowaniach” ze Związkiem Radzieckim z jednej i blokiem agresywnym z drugiej strony — poddana zostaje z każdym dnem coraz cięższemu próbom. Analizując sprawę „rokowań równoległych”, opinia publiczna konstatuje bowiem, że gabinet Mendes France'a nie tylko nie podejmuje dyplomatycznych negocjacji ze Związkiem Radzieckim, ale że również odpowiada odmownie na radzieckie propozycje pokoju.

Stara teza o „pozycji siły”, według której rozmowy ze Związkiem Radzieckim mogą być prowadzone dopiero po uzbrojeniu niemieckich odwetowców, nie znajduje poparcia wśród polityków francuskich liczących się z ludowym protestem. Zarówno generał de Gaulle, jak Edward Herriot i Jules Moch wypowiadają się za rokowaniami ze Związkiem Radzieckim podstępami przed jakąkolwiek próbą remilitaryzacji zachodnich Niemiec. Mendes France zaś, który w deklaracjach swych przedstawiał się jako zwolennik „rokowań równoległych” (tzw. „parallelisme”) w rzeczywistości znalazł się w orbicie swych poprzedników, związanych z agresywnym blokiem kiero-

wanym przez Stany Zjednoczone. Sprzecznoci w obozie imperialistycznym są bez wątpienia tak wielkie, że mogły one osłabić w pewnej mierze wpływ amerykański na politykę francuską. Nowe formuły są jednak w istocie nowym tylko mundurem dla tego samego odwetowego Wehrmachtu.

GABINET SPIESZY SIĘ...

Opinia publiczna wie o tym i nie pozwoliła wyprowadzić się w pole. Niedziela 31 października była dniem potężnej narodowej demonstracji, w czasie której na apel Krajowej Rady Pokoju zebrano setki tysięcy podpisów pod petycją potępiającą układy londyńskie i paryskie. Każdego dnia czytamy w prasie obszernie doniesienia o wspólnej akcji, podjętej przeciw zbrojeniu zachodnich Niemiec. Władomości te nadchodzą ze wszystkich departamentów Francji i obecny gabinet spieszy się coraz bardziej. Zgromadzenie Narodowe wznowiło prace 3 listopada i przyjęty został porządek dzienny przewidujący m. in., że od 14 do 17 grudnia toczyć się będzie debata nad układami remilitaryzacyjnymi. Na posiedzeniu Komisji Spraw Zagranicznych, w ubiegły czwartek, Mendes France wystąpił z deklaracją, w której stwierdził, że „spiesz się i nie chce dopuścić, aby powtórzyły się błędy, jakie powstały w związku z EWO”. Starał się on również wykazać „nieuniknioną” uzbrojenia Niemiec, a również dowiedzieć, że Francja uzyskała „wystarczające gwarancje” i że układy londyńskie i paryskie rzekomo nie są sprzeczne z układem francusko-radzieckim z roku 1944.

Tego samego dnia prasa wielu krajów miała przecież możliwość skonstatować, że „walka przeciwko ukladom londyńskim i paryskim przybiera we Francji coraz bardziej na sile”. Za stwierdzeniem tym następowały komunikaty o sukcesach tej walki w Haute-Vienne i Herault, w Dordogne i Pas-de-Calais, w Paryżu, Rouannes i Asnieres. Dziennik „Liberation” zwracał jednocześnie uwagę na fakt, że w parlamencie „wielu deputowanych przeciwnych jest wszelkiemu zbrojeniu niemieckim, gdyż zdają oni sobie sprawę, że ogromna większość Francuzów zdecydowanie sprzeciwia się remilitaryzacji Niemiec zachodnich”. Tego samego wreszcie dnia czytaliśmy w „Humanite” o nowym etapie walki przeciw zbrojeniu Wehrmachtu, etapie, w którym „akcja ludu francuskiego odegra niezwykle doniosłą rolę”.

W 1937 r. Arnold Szyfman zorganizował „Balet Polski”, przeznaczony przede wszystkim na objazd stolic zagranicznych. Choreografię powierzono Bronisławie Niżyńskiej, pochodzącej ze znanej polskiej rodziny tancerzy, ale do tej pory pracującej w baletach obcych; teraz zjawiała się na wezwanie Szyfmana w Polsce po raz pierwszy i objęła kierownictwo artystyczne nowego zespołu.

Szyfman pragnął, by nie tylko muzyka i choreografia wybranych na eksport utworów, ale także

ich libretta były z prawdziwego zdarzenia. Zdołał zainteresować swoim baletem kilku poetów. Ludwik Hieronim Morstin napisał „Baśń krakowską” (o panu Twardowskim) dla Michała Kondrackiego, Światopełk Karpiński „Apolla i dziewczynę” dla Ludomira Różyckiego. A Julian Tuwim „Cagliostro w Warszawie”, do którego muzykę skomponował Jan Maklakiewicz.

Libretto Tuwima drukujemy tutaj po raz pierwszy — i to według egzemplarza znajdującego

DZIEJE BALETU

się w moich zbiorach, a przejrzanego i poprawionego przez poetę w październiku ubiegłego roku. „Cagliostro” nie został wystawiony w ramach „Baletu Polskiego”; nie doszło nawet do prób. Okazało się, że po prostu jest więcej baletów niż potrzeba do pierwszego programu. A przy montowaniu drugiego (1938—39) zapomniano o balecie Tuwima i Maklakiewicza.

Wystawiono go dopiero

po wojnie, w Poznaniu, za dyrekcji Zygmunta Latoszewskiego. Inscenizował utwór Jerzy Kapliński, scenografem był Stefan Janasik. Kapliński pozmieniał libretto Tuwima w kilku miejscach. Wyrzucił wszystkie perypetie związane z odmlodzeniem hrabiego. Był to co prawda pomysł nie nowy: w sławnym i grywanym kiedyś także w Warszawie balecie P. Taglioniego „Przygody Flika i Floka”

jest w ostatnim akcie podobna sytuacja; zresztą Tuwim nie znalazł tego baletu. Kapliński wymyślił inne metamorfozy: gdy hrabia rozbija teatr marionetek Zosi, Cagliostro zamienia go w kukłę, a potem zgola w kamienny posąg. I seans w obrazie drugim jest nie taki, jakim go chciał widzieć autor libretta: w magicznym zwierciadle pokazuje Cagliostro zebranym arystokratom zbliżającą się burzę, która ich rozgromi.

Sasza Machow, który w 1948 r. wystawił „Cagliostro” w Pradze, posunął

się jeszcze dalej; zdaje się, że zbyt daleko. W jego inscenizacji Cagliostro wyczarowuje proroczo... ruiny zniszczonej Warszawy. Oczywiście wszystkie te zmiany poczyniono bez zgody Tuwima.

Do Warszawy „Cagliostro” jeszcze nie dojechał. Ujrzelibyśmy go tutaj chętnie, oczyszczonego z osobliwych „wydźwięków”. Tym chętniej, że nasza reprezentacyjna Opera nie ma od dwóch przeszło lat w swoim repertuarze ani jednego baletu polskiego.

A. M. S.

Maj 1780 r. Zabawa ludowa na Starym Mieście w Warszawie. Budy jarmarczne: karuzela, teatr „dzikich” (Indian), panoptikum z żywymi monstrami (karzeł, olbrzym, człowiek-wąż), estrada atletów. Na pierwszym planie z prawej strony: teatrzyk marionetek. Z lewej — buda magika.

Gwar, śmiech, pstrokaczyna, Cygan z Cyganczką oraz inne typy.

TANIEC ROZBAWIONYCH MIESZCZAN. Kuglarze zapraszają do swych przybytków. Najwięcej ciekawych gromadzi się przed marionetkami. „Dyrektorką” tej scenki jest śliczna dziewczyna (nazwijmy ją Zosia). Zaprasza na spektakl, który się zaraz rozpocznie. Zbiera miedziaki do talerza.

TANIEC ZOSI, „reklamujący” widowisko kukielkowe. „Zobaczycie zaraz, jak się bawią wielcy panowie, jakie w pałacach wspaniałości. Zaraz rozsunie się zasłona mego teatrzyku — i lalki pokażą wam te wszystkie cuda”.

Przedstawienie kukielek: marionetki tańczą menueta,

JULIAN TUWIM CAGLIOSTRO W WARSZAWIE

Balet w trzech obrazach
Z niedrukowanych utworów poety

Podał do druku: ARTUR MARYA SWINARSKI

krygują się, odstawiają dworską wytworność. Tłum śmieje się.

Hrabia, groteskowy galant-buffo, zjawia się na placu; jest pełen pogardy dla gminu, chce go rozpedzić. Najbardziej oburzony jest kpinami z wielkiego świata, jakie odbywają się na scenie. „Nie pozwolę. Przepędzę”. Rozbija laską teatrzyk i tłucze talerz z pieniędźmi, który Zosia trzyma w ręku. Kukielki zwiśają bezsilnie przez rampę. Zamieszanie. Hrabia zmyka. Zosia płacze przed swym zniszczonym teatrem, a tłum pobiegł już na lewo, gdzie rozpoczął przedstawienie Magik.

Stoi na podwyższeniu, cały czarny, opięty, demonicznie-mefistofeliczny, z bródką w szpic. Zrobił się wokół niego tłok, tak że magik tworzy jakby ostry, czarny słupek, wbity w centrum pstrokatej masy ludzkiej. Wymachując rozmaite hokus-pokus rękami, zdejmując wreszcie z głowy cylinder, wyjmując ze środka białego gołębia, pokazuje go tłumowi i chowa z powrotem. — „Ten gołąb, który był w cylindrze, znajduje się teraz w fałdach sukni tej oto grubej jejmości”. Tłum oblega przerażoną jejmość. Z tłumu czyjaś wyciągnięta ręka robi gest w stronę Zosi. I oto gołąb siedzi na jej ramieniu. To już sprawa Cagliostro. Teraz on skupia na sobie całą uwagę. Tłum jest zdumiony, magik skonsternowany. Cagliostro pokazuje złotego dukata. Hokus-pokus. I do stóp Zosi sypie się mnóstwo złota. Tłum rzuca się, aby je zagarnąć, ale pod wpływem wzroku Cagliostro cofa się.

TANIEC Cagliostro, ilustrujący jego prestidigitatorskie moce. Zachwył Zosi. I ona mu się też spodobała. Chce z nią pozostać sam, ale oczarowany tłum biegnie za nimi wszędzie, prosząc o dukaty i daremnie próbując tak samo jak Cagliostro sprawić kłanieniem palców złoty deszcz.

Wtedy Cagliostro zaczyna TANIEC ŻYWIOŁÓW: co pewien czas uderza mocno nogą w ziemię — za każdym takim uderzeniem następuje jakieś groźne zjawisko. Bac! — i w odległym miejscu sceny wybucha ogień z ziemi. Bac! — i z jasnego nieba uderza grom. Bac! — niebo chmurzy się, silny wicher zaczyna miotać tłumem i podnosić go na wszystkie strony. Puśtka. Wszyscy w popłochu uciekają.

Cagliostro i Zosia zostali sami. Wtedy on, uśmiechnięty, podnosi z ziemi jedną monetę złotą, rzuca ją w górę w głąb sceny. Moneta zamienia się w księżyc na niebie.

MAGICZNY TANIEC MIŁOŚCI w promieniach księżyca. — „Kocham cię. Jestem wielkim czarodziejem.

Nadprzyrodzone moce są na moje usługi. Z biednej dziewczyny zrobię cię wspaniałą damą. A przede wszystkim zemścimy się na tym okrutniku, który cię skrzywdził”. Gdy Cagliostro wyprowadza Zosię ze sceny, idą za nimi marionetki.

II

Laboratorium alchemiczne Hrabiego. Alchemiki, słoje, maszyny, butle z kolorowymi płynami. Na ścianach zasuszone okazy fantastycznej fauny. W głębi piec alchemiczny. Boczna ściana zajmują półki z wielkimi in folio tomami dzieł magicznych. Przed

półkami drabina. Hrabia pracuje nad przemianą rtęci w złoto. Już jest na tropie do odkrycia ostatniej tajemnicy tej mutacji, brak mu tylko jednej, decydującej wiadomości. Odrywa się więc od roboty i zaczyna szukać odpowiedniej księgi. Wchodzi i schodzi po stopniach drabiny, przesuwa ją, szpera wśród ksiąg, wyjmując, przerzuca, odstawia itd.

Ruchy te ujęte w zdecydowany rytm muzyki, tworzą groteskowy TANIEC CZŁOWIEKA Z KSIĄŻKAMI. Wreszcie znalazł. Biegnie do swych retort i butelek.

Narodni Divadlo w Pradze 1948 r. Zosia i Cagliostro, który dla spotęgowania niesamowitości ma nad oczami przyklejone błyszczące blaszki...



Prapremiera baletu Tuwima i Maklakiewicza odbyła się dnia 18 stycznia 1947 r. w Poznaniu. Zosię tańczyła Barbara Bittnerówna, Cagliostro Jerzy Kapliński.



Niebieskie kartki

O SAMOTNOŚCI

PIERWSZE LATA Polski Ludowej wciąż czekają na nas; każdy z piszących ma tutaj niespokojne sumienie. Byłoby rzeczą pasjonującą raz jeszcze prześledzić drogę przemian od 1945 do ostatnich dni; przyjrzeć się ludziom, którzy wyrosli; którzy zabłądili i zgłąbi; wczytać się w spory i polemiki, które niegdyś rozpałały umysły, a dzisiaj wydają się odległe o wieki.

Z głośnych ongi polemik w sposób niemal obsesjonalny pamiętam jedną zwłaszcza, pomiędzy młodym krytykiem a niemłoda kobietą, w której to polemice kobieta okazała się dużo, dużo mądrzejsza od swego przeciwnika, o czym ów krytyk dopiero teraz się przekonał, z czasem bowiem krytycy także się rozwijają.

Dopiero wczoraj spotkałem tego krytyka.

— Słuchaj — powiedział — czuję się jak kobieta po zdradzie, zupełnie nie mogę doliczyć się godzin. Zupełnie nie mogę doliczyć się lat, nie wiem, gdzie podziało mi się dziewięć lat życia. Czy ty także nie możesz się doliczyć?

Czy ja także? Ja także. Mnie także przeciekleły przez palce. Każdemu trudno oswoić się z oszalałym biegiem czasu, wyzbyć się złudzeń, iż młodość nie trwa wiecznie. Zofia Nałkowska na swoim jubileuszu powiedziała: „Starość jest dla mnie przegodą, z którą wciąż jeszcze nie wiem, co zrobić“.

Dziewięć lat temu ów krytyk dochodził trzydziestki; trzydziestka to młodość w życiu intelektualisty. Wtedy w 1945 krytyk był jeszcze młodszy, gdyż pokój, który właśnie nastąpił, odjął mu lat; szczęście odmładsza, gdy się pojawia. Popularny wtedy jak zwycięzca w Tour de Pologne krytyk ów napisał w jednym ze swych wystąpień, w jednym ze swych „kijów w mrowisku“, że właściwie to wszystko jedno jak człowiek umiera. Potem dodał jeszcze, że samotność jest uczuciem szczerkawym, martwym nieprzydatnym we współczesnym świecie.

Na to właśnie niemłoda kobieta odpowiedziała mu:

— Wolnego, obywatelu krytyku, to wcale nie wszystko jedno, jak człowiek umiera. Wcale a wcale. Pomówcie z ludźmi, a usłyszycie, co wam powiedzą na ten temat. Samotności także jeszcze nie skreślajcie ze wszystkim, obywatelu krytyku.. Samotność wcale nie jest czymś obcym człowiekowi współczesnemu

— To prawda, że w trzydziestym dziewiątym pożegnaliśmy wiele uczuć, przeciwko którym naocetowały nas dalsze lata wojny. To prawda, że po sześciu latach największej rzezi w historii samotność może się wydawać czymś, do czego nigdy nie powrócimy. Do dziewięćdziesięciu dziewięciu jej odman nie powrócimy, ale samotność bywa także ostatnią ramą, ostatnią ziemią bohaterstwa, jak dla lotnika jego samolot (dlatego skok z płonącego nawet samolotu przychodzi z takim trudem). Tej samotności, obywatelu krytyku, nie wyrzucacie jeszcze za okno.

— Samotnie działa podczas wojny zwiadowca zrzucony na tyły wroga. Samotnie pośród ciemnych pól wędrował żołnierz zrzucony nocą z samolotu na okupowany kraj. Żołnierz podziemia wzięty na tortury oko w oko z uzbrojoną przemocą był sam. I w tej samotnej godzinie wszyscy musieli właśnie być najsilniejsi.

— Wolnego, obywatelu krytyku, nie wyrzucacie jeszcze samotności na śmietnik. Stwierdzono, iż w tyralierze ruszającej do ataku na bagnety, w otoczeniu najbliższych ludzi, żołnierz zrywa się samotnie. Wszelki zryw bohaterski dokonuje się samotnie, człowiek dokonuje go sam, jak sam kocha czy sam umiera; bohaterstwo to zjawisko z tej właśnie kategorii — i po co tutaj mącić?

— Każdy z nas jest żołnierzem, obywatelu krytyku. I każdego dnia każdy z nas może być wezwany. I przez godzinę, dzień, tydzień każdy z wezwanych może stać się obrońcą całego świata i postępu świata, wszystkich godzinnych ludzi na ziemi. Czy uzbroicie się na tę godzinę? Czy zahartowacie swoje ręce i nogi? Swoje serce skłonne do lęku? Czy twoje płuca wytrzymają? Czy jesteś silny? Samotny jak niemowlę w lesie każdy z nas może być wezwany do tej największej gry życia. Gdy zwycięży — zwycięży nie tylko dla siebie, ale i dla nas wszystkich, gdyż wszyscy jesteśmy sznurkami związani, chodzimy związani, choć tego nie widzimy. Samotność jest ostatnią stacją wspólności, jest granicą idei. Nie wyrzucacie jej na śmietnik, obywatelu krytyku.

Tak właśnie napisała niemłoda kobieta, a nie ów młody krytyk, który spędził wśród nas lata okupacji, znał sto przykładów bohaterstwa żołnierzy podziemnych AL-u i wiedział, iż wielu z nich zginęło wśród tortur nie zdradzwszy towarzyszy. Los tegoż krytyka nie raz i nie dwa zależny był od tego, czy schwytani towarzysze wytrzymają, czy nie wytrzymają próby gestapo. Pomimo to wystarczyła jedna noc pokoju, aby napisał, że to wszystko jedno, jak człowiek umiera.



W tym laboratorium alchemicznym Cagliostro wyczarowuje obraz z dalekiej przyszłości: ruiny Warszawy... Projekt dekoracji Wacława Gottlieba do obrazu drugiego „Cagliostrowa w Warszawie“. Praga 1948 r.

ale zanim zdążył dolać do kipiącego na ogniu tygla tej właśnie mikstury, o której w księdze wyczytał, wbiega Hrabina, a za nią wierzyciele — krawiec, szewc, bieliźniarz, fryzjer — domagając się pieniędzy. Hrabia pokazuje, że za chwilę będzie miał złoto, ile zechce, bo właśnie odkrył tajemnicę, ale wierzyciele nie chcą czekać. „Tą alchemią zwodzi nas już pan całe lata“. Hrabia jest wściekły. Woła służbę, każe natrętów wyrzucić.

Wbiega zdyszany majordomus: „Panie hrabio. Hrabia Cagliostro z małżonką przyszli z wizytą“.

Hrabia jest w siódmym niebie. — „Cagliostro. Słynny Cagliostro. Co za szczęście. No, on już na pewno nauczy mnie sztuki wyrobienia złota“.

Po chwili wchodzi Cagliostro i Zosia. Głębokie ukłony prezentacyjne.

— Hrabio, zwiedzam piękne wasze miasto i składam wizyty najznakomitszym osobom. Dowiedziałem się, że uprawiasz sztukę alchemiczną. Czy mogę ci być pomocny?

Hrabia pokazuje mu swój warsztat: „Chciałbym złota. Jak się to robi?“

Cagliostro uśmiecha się. „To drobnostka“. Z tygla wyskakują złote dukaty — i padają wszystkie pod stopy Zosi. Gdy Hrabia chce je uchwycić, parzą mu palce. Zosia podnosi je bez szwanku. Hrabia zaczyna zalecać się do Zosi, Hrabina do Cagliostrowa, który w pewnej chwili podchodzi do płonącego pieca, wyjmując z ognia świeżych róż bukiet i wręcza Hrabinie. Hrabia chce zrobić to samo, ale poparzył sobie tylko ręce.

SEANS CAGLIOSTRA. Cagliostro nakreśla na podłodze kredą koło. Drugie nad sobą w powietrzu. Krąży w tym domniemanym cylindrze, którego nikt z obecnych nie może przestąpić. Ale i on sam jest w nim zamknięty. Ten nieistniejący cylinder jest jakby z grubego szkła. Cagliostro wyciąga ręce, bije pięściami w jego ściany, ale nie może się wydostać. Zosia krąży dokoła tego powietrznego więzienia, coraz szybsze jest ich wirowanie, ale „ściany“ bronią dostępu. Ruchy Zosi odbywać się muszą po idealnej linii koła, którego wirującym środkiem jest Cagliostro. Na scenie jest nie tylko ciemno, ale zupełnie czarno. Tylko cylindryczny snop światła, idący z góry, oświetla tańczących. Po pewnym czasie — tempo krążenia coraz wolniejsze, aż obydwoje zastygają w modlitwie-zaklęciu. Ta koniuracja sprawia, że łączą się, są szczęśliwi. Wtedy Cagliostro kłasięciem palców sprowadza z mroku upersonifikowane znaki zodiaku, które puszcza w tan, a sam cofa się z Zosią w głąb.

ZODIAK. Gdy balet astralny kończy się i scena się rozwidnia, Cagliostro i Zosia siedzą całkiem „realistycznie“ w towarzystwie Hrabiego i Hrabiny, jak gdyby przez cały czas byli tylko widzami tego, co się odbywało.

Hrabia tymczasem zasnął. Hrabina gestem rozpaczki wskazuje męża. Ocknął się. Gestami skarży się i pokazuje nadchodzącą starość i stętyczenie. Wskazuje na Cagliostrowa, którego ruchy są sprężyste i czarujące.

— Mogę pana hrabiego odmłodzić. To dla mnie drobnostka. Cagliostro wyjmując z kieszeni flakonik i wręcza go Hrabiemu. Hrabia wypija wszystko jednym haustem. Cagliostro łapie się za głowę. „Co pan zrobił?“ Hrabia zaczyna podrygiwać — jest coraz młodszy, coraz weselszy, coraz śmieszniejszy.

TANIEC ŚMIECHU (Cagliostro, Zosia, Hrabina) do koła Hrabiego. Biorą w nim udział i marionetki, które przy końcu obrazu I odprowadzały Cagliostrowa i Zosię. Młody wpada w objęcia Hrabiny.

III.

Garden Party na cześć Cagliostrowa w Łazienkach. Fontanny. Iluminacja. Gipsowe figury mitologiczne. Goście jeszcze się nie zjechali. Wbiega Hrabina, szuka Cagliostrowa, nie może znaleźć. Jest w rozpacz. Nie bez powodu: bo oto wbiega za nią Hrabia, tak bardzo odmłodzony, że stał się 10-letnim chłopcem (kopia Hrabiego w małym wydaniu: ten sam kostium w zmniejszeniu, ta sama charakterystyka, lorgnon, etc.). Małutki Hrabia jest dziecięco wesoły, choć żona od zmysłów odchodzi. Co to będzie? Zaraz zjawia się goście. Jak ona im pokaże takiego męża? Gdzie Cagliostro? Przecież on jeden tylko może przywrócić Hrabiemu poprzedni wygląd. Cagliostro zjawia się wreszcie. Hrabina pokazuje mu co się stało z jej mężem. Nic dziwnego — za dużo wypił. Zaraz mu przywrócimy dawną postać. Wyjmując z kieszeni buteleczkę. Gwałtem wlewają mu do ust jej zawartość i ciągną rozkapryszanego malca za kulis. Scena pusta.

Wchodzi Cagliostro z Hrabina. Hrabina jest niespokojna: czy aby środek podziała? — Na pewno. Cagliostro spogląda na zegarek. Za chwilę wszystko będzie w porządku. Wchodzi Hrabia—siwobrody starzec. Znowu rozpacz. Cagliostro wyjmując z kieszeni nową flaszeczkę. Hrabia pije (odwrócony od widowni; zdjął przyprawioną brodę) i znowu jest dawnym „sobą“.

Schodzą się goście. Prezentacja. Bal rozpoczęty. Muzyka gra menueta. Cagliostro idzie w pierwszą parę z Hrabina. Hrabia powinien zaprosić Zosię. Ale jej nie ma. Rozmowa z Cagliostrem na ten temat. Wtedy wchodzi Zosia — biedna dziewczyna z pierwszego aktu. Hrabia oburzony. Jak śmiesz? Kto cię wpuścił? Wyrzucić! Goście skonsternowani. Hrabia znowu grozi jej kijem. Hrabina pieni się ze złości. Wtedy Cagliostro porzuca Hrabinę i idzie z Zosią w taniec, jako pierwsza para. Goście suną za nimi, ale stopniowo coraz więcej par odpada, wszyscy zajmują wobec Cagliostrowa i Zosi bojową postawę. Wtedy Cagliostro podnosi rękę — wszyscy odchodzą, jakby zaczarowani. Zza kulis wpada cały lud rozbawiony i tańczy oberka.

ILU LUDZI- TYLE OPOWIEŚCI...

MARIAN PODKOWIŃSKI

Korespondencja własna „Świata” z NRD

DO WSI Kalkreuth w powiecie Grossenhain w Saksonii przyjechaliśmy w Dniu Młodego Aktywisty — po naszymu przodownika pracy. Chcieliśmy zobaczyć nową wieś niemiecką, wieś wyrwaną ze szponów junkrów i grossbauerów. Autostrada wita się pośród zagajników i pastwisk, a czerwone dachówki różnokolorowych zagród chłopskich tworzyły malowniczy pejzaż. Nasz przewodnik wyjaśnił nam, że jedziemy przez teren rozparcelowanego majątku obszarnika, jego ziemia przydzielona została chłopom przesiedlonym z Sudetów. Dziś czują się oni tutaj w pełni gospodarzami nowej ojczyzny. Pomoc w narzędziach i kredyty, jakie osiedleńcom przydzielił rząd NRD, umożliwiły szybkie zagospodarowanie. Dzisiaj w Saksonii — pcwiada nasz przewodnik — stanowią oni

przodujący aktyw w walce z miejscowymi kulakami.

Wieś Kalkreuth doznała ciężkich zniszczeń podczas końcowych walk w Niemczech. Cofające się wojska hitlerowskie stosowały bowiem taktykę spalonej ziemi również we własnym kraju. Kiedy chłopci, którzy skryli się w okolicznych wsiach, powrócili do domu — Kalkreuth przypominało cmentarzysko. Gdzieś tam sterczały jeszcze kominy; jakaś chałupa; trupy końskie i wraki samochodowe. To wszystko.

Ale chłop nie rzuca ojcowizny. Pierwszą pomoc dały wojska radzieckie, później przyszyły z pomocą niemieckie władze demokratyczne, no i sąsiedzi. Zwożono budulec i cegły. Przybyli fachowcy z całego powiatu, brygady robotnicze pomogły chłopom w odbudowie wsi. Ale największą pomoc w pracy przynieśli wsi Kalkreuth — młodzi. Synowie zrujnowanych wojną gospodarzy oraz okoliczna młodzież wszystkie wolne chwile od pracy i nauki poświęcili odbudowie wsi. A kiedy na dwupiętrowym domu sołtys pewnego dnia zawiesił metalowy sztyldzik „Szkoła powszechna w Kalkreuth” — chłopcy wytoczyli na rynek beczkę piwa. W 4 lata po wojnie we wsi saksońskiej Kalkreuth dzieci miejscowych gospodarzy miały własną szkołę.

Właśnie do tej szkoły przyjechaliśmy w gości. Sprawa bowiem ma się tak: w walce o zjednoczenie Niemiec młodzież szkolna NRD również bierze czynny udział. W jaki sposób? Oto co roku szereg szkół podstawowych zaprasza na tygodniowy bezpłatny pobyt dzieci szkolne z zachodnich Niemiec. To samo czyni starsza młodzież z klas licealnych, a przede wszystkim kim studenci. Wymiana młodzieży daje pouczające rezultaty. Zwłaszcza dla zachodniej młodzieży, która pozbawiona opieki i możliwości pełnej nauki, wydana na łup naganiaczy mięsa armatniego, podczas pobytu w NRD może na własne oczy oglądać zdobycze demokratycznej młodzieży niemieckiej.

Zobaczyć spotkanie młodzieży z obu części Niemiec na terenie gminnej szkoły, gdzie młodzież dwu wsi podzielonych amerykańskim kordonem może do woli opowiadać sobie o wspólnych radościach i troskach, było celem naszej długiej podróży z Berlina do Kalkreuth.



W szkołach Niemieckiej Republiki Demokratycznej młodzież uczy się z zapalem. Ma ona wspaniale możli-

Szkoła w Kalkreuth — to solidny dwupiętrowy budynek z mansardami — w stylu saskiego baroku. Obszerne, widne sale, wygodne ławki, świetlica pełna książek, rozmaite pomieszczenia dla szkolnych organizacji. Dawniej, za Hitlera, była tutaj jedynie dwuklasowa szkoła powszechna. Obecnie jest tu gminna szkoła 8-klasowa, wyposażona we wszystkie pomoce szkolne. Gospodarcze zaplecze stanowi miejscowy PGR. Dzieci mają więc zapewnioną naukę i wyżywienie. „Ta szkoła — to nasza duma” — powiedział nam na powitanie sołtys z Kalkreuth.

Nie tylko zresztą my zachwyciliśmy się nową szkołą; patrzyli na nią zazdrośnie dzieci zaproszone z zachodnich Niemiec. Pochodzą one ze wsi Brensbach w Odenwaldzie, w Hesji. Dawniej miały 4-klasową szkołę — powiada jeden z ich opiekunów — dzisiaj tylko 3-klasową. Nie ma pieniędzy, a i z pomieszczeniem trudno. Wieś Brensbach jest poważnie zniszczona, ale nikt nie myśli o naprawie wojennych szkód. Nie dość na tym! W największej sali szkolnej władze adenauerowskie umieściły posterunek żandarmerii. Z braku funduszy jednego nauczyciela zredukowano, innym zmniejszono i tak już liche pensje. Ale co mieli robić nauczyciele — powiada nasz informator — skoro bezrobocie stało się plagą w tym zaszczytnym zawodzie? Godzą się więc na wszystkie warunki, aby nie umrzeć z głodu.

— A dzieci? — pytamy.

— Uczą się na ogół dobrze i chętnie — pada odpowiedź. — Ale cóż z tego! Po trzech latach nauki w szkole gminnej nawet najzdolniejsi nie mają żadnych możliwości kontynuowania nauki. Wracają więc do ojcowskiej chałupy, choć i tutaj niewiele jest do roboty. Wałęsają się więc po wsi. Mniej odporni idą na każdą przygodę i awanturę. Wszędzie ich można spotkać. Zwłaszcza przy autostradach, gdzie za kilka fenigów pilnują aut wycieczkowiczów przed bandami kradnącymi opony. A nierzadko — dodaje nasz informator — sami w końcu wpadają w szpony owych band złożonych z wyrostków. Niedawno jedna z gazet we Frankfurcie n/Menem pisała, że w samej tylko Hesji piętnaście tysięcy młodych trampsów włóczy się po całej prowincji. Przestępczość wśród młodzieży w zachodnich Niemczech — dodaje ze smutkiem nasz informator — jest zastraszająco wielka...

W gazetach zachodnich pełno jest opisów napadów rabunkowych, w których biorą udział młodociani. Wśród przemytników na granicy belgijskiej i holenderskiej olbrzymi procent stanowią chłopcy do 12 lat. Trudnią się oni zawodowo przemysłem papierosów i kawy. Policja w Kolonii wykryła niedawno bandę przemytniczą, której hersztem był 15-letni chłopiec, dwukrotnie notowany w policji za rozmaite kradzieże. Uciekł zresztą niedawno z domu poprawczy. Na dworcach kolejowych i przy stacjach autobusowych młodociani kłódzie są postrachem pasażerów.

Trudno się nawet temu dziwić, skoro w zachodnich Niemczech czyni się wszystko, aby młodzież nie mogła studiować i doskonalić się w obranym zawodzie. Jednym z założeń psychologicznej remilitaryzacji jest właśnie deprawacja młodzieży, łamanie charakteru, nihilizm. Wtedy łatwiej kusić „czarem munduru”, łózką w koszarach i nawet kielbasą. Deprawacja poważnej części młodzieży zachodniej jest wynikiem świadomej akcji tych, którzy śladem Hitlera usiłują dzisiaj zachodnie Niemcy obrócić w cytadelę reakcji i militarizmu.

Z dziećmi szkolnymi, które z zachodniego Odenwaldu przyjechały w gościnę do wschodniego Kalkreuth przybyło kilku ich opiekunów. I oni są chłopskimi synami odenwaldzkiej ziemi, na której teraz manewrują amerykańskie czołgi, niszcząc zagrody ich ojców. W

W takich warunkach odrabiać musi lekcję syn bezrobotnego z Niemiec zachodnich, Werner Englehard. Czyż można go porównać z roześmianymi dziećmi Kalkreuth?





wości. Demokratyczne państwo dało młodzieży tysiące pomocy naukowych, setki nowych izb szkolnych



Codzienny widok w miastach NRD: Chłopiec idzie do szkoły. Może to jego ojciec pracuje na tej budowie?

Hesji bowiem tysiące hektarów ornej ziemi poszły pod budowę poligonów i lotnisk polowych dla potrzeb — dziś amerykańskiej, a jutro bońskiej armii.

Ich osobiste losy — to droga tysięcy młodych ludzi na zachód od Łaby. Przy piwie i parówkach (miejscowy PGR nie poskapił ich gościom) słyszymy opowieści o życiu młodych ludzi, którzy zawsze chętni do pracy i często utalentowani, nawet myśleć nie mogą o awansie społecznym, o poprawie swego życia.

Dwa hektary ziemi posiada w Odenwaldzie rodzina Dascherów. Ich córka, Elisabeth, siedzi właśnie z nami w obszernej sali szkolnej w Kalkreuth. Co robi w domu? Właściwie nic. Pracy bowiem nie ma, do szkoły powiatowej dostać się nie może, chociaż nauczyciel twierdzi, że dziewczyna zasługuje na akademickie wykształcenie. Pomaga więc trochę w gospodarstwie matce, bo ojciec dorabia jako gminny szklarz. Elisabeth, wesoła blondynka o szmaragdowych oczach, opiekuje się więc dziećmi w szkole. Ale najchętniej, jak sama mówi, poszłaby na „służbę do państwa w mieście”. Żeby uciąć trochę marek.

A oto Hanna Krell. Ma 18 lat. Ojciec posiada kilka morgów ziemi. Pracuje również jako stolarz. Ona, uczennica szkoły w Brensbach zdawała świetnie egzaminy. Ale na średnią szkołę ojciec nie ma pieniędzy. Hanna pracuje więc obecnie w fabryce wiecznych piór — jako siła niewykwalifikowana — w pakowni. Jej marzeniem jest skończyć szkołę zawodową, zostać krawcową, ale w jaki sposób — tego jej nikt nie może w domu powiedzieć...

Wśród młodzieży wychowywanej w zachodnich Niemczech według amerykańskich wzorów przestępczość jest zastraszająco wielka. Na dworcach kolejowych i autobusowych młodociani złodzieje są postrachem pasażerów.



DALEKO I BLISKO

CZYTAM w prasie codziennej opisy zebrań przedwyborczych w miastach, miasteczkach i wsiach. Z zainteresowaniem przeczytałam w „Trybunie Ludu” reportaż-opowiadanie Jerzego Rosa i Jana Górnickiego pt. „Na zebraniu”. Jedną z bohaterów tego opowiadania, mądra, odważna kobieta ze wsi umiała z bliska i z bardzo bliska spojrzeć na kandydatów do przyszłych rad narodowych, umiała z bliska, z bardzo bliska przejrzeć sprytnie manewry kulaków przeciw uczciwym kandydatom. I właśnie owo bardzo bliskie spojrzenie, owo spotkanie oko w oko z prawdą i rozprawa oko w oko z fałszem, pozwoliły obronić słusznie wysunięte kandydatury przed oszczerzymi zarzutami, służącymi do utracenia ludzi uczciwych, wiernych Polsce Ludowej.

Bliska znajomość ludzi, a także bliski stosunek do sprawy, o którą chodzi, ułatwiły w wypadku powyższym zwycięstwo nad wrogiem.

Czytam też w prasie codziennej wiadomości o nowym rozmieszczeniu przyszłych rad. o tym, jak to zbliży się do wsi okolicznych lokalny organ władzy ludowej, jak to nieszkanczy gromady X nie będą musieli chodzić po dziesięć kilometrów do gminy, jak to się cieszą chłopci z gromady Y, że u nich to właśnie osiedli się rada gromadzka. Znam wieś i radość tę rozumiem. Wiem, co to znaczy w jesienią na przykład szarugę wydeptywać wiejskie drogi. Wychodzisz w szarówkę — wracasz w noc. Grzeźniesz w bloku, lub mokniesz pod deszczem, co to niby tylko siąpi, a jednak do szpiku kości przenika. Czasem klniesz jeszcze, kiedy na domiar złego pracownik GRN, do którego się udałeś, musiał akurat wyjechać do powiatu.

Bliskość organów władzy, bliska znajomość, terenu przez ludzi, władzę tę sprawujących, wydatnie pomoże człowiekowi pracy w usuwaniu kłopotów i ulepszaniu codziennego życia.

Lecz są wypadki, w których do owej bliskości ludzi wobec ludzi i ludzi wobec spraw — bardzo jeszcze daleko. Są wypadki, w których między placówką, powołaną do troszczenia się o człowieka, a człowiekiem, o którego właśnie powinna się troszczyć — nagromadziły się takie pokłady formalistyki i biurokracji, że „troska o człowieka” staje się hasłem bez pokrycia, a dalekość między ludźmi niejednemu odbiera odwagę do wyruszenia w drogę, do walki o to, co mu się słusznie należy.

Institucja, w której pracuje pewien mój znajomy, mieści się w budynku, przechodzącym pod nową administrację. Nowa administracja jeszcze swych funkcji nie objęła — natomiast stara z szybkością godną lepszej sprawy umyła ręce od wszystkiego. Budynek jest nie opalany, nie sprzątnięty, nikogo nie obchodzący, bezpański. Pracownicy marzną i... interweniują bez skutku.

Stara administracja mówi: To już nie nasza sprawa.

Nowa administracja mówi: To jeszcze nie nasza sprawa

Wyższa instancja mówi: Wszystko zależy od Urzędu X

Urząd X mówi: Wszystko zależy od Urzędu Y.

Urząd Y mówi: Musimy mieć formalne zezwolenie od Urzędu Z

Urząd Z mówi: Sprawa jest jasna jak słońce: stara administracja musi...

Stara administracja mówi: Urząd Z nic nam nie ma do rozkazywania. To już nie nasza sprawa...

I tak w koło Macieju. W chwili, gdy piszę te słowa, mój znajomy wciąż lawiruje między starą administracją, nową administracją, Urzędem X, Urzędem Y, Urzędem Z, a poza lawirowaniem marznie, chrząka, kaszle, kicha, klnie i... traci nadzieję, żeby z tych wszystkich interwencji cokolwiek wyszło. Jeśli nawet według własnej mojej oceny dzisiaj już sytuacja usposabia do horoskopów bardziej optymistycznych — to i tak trwała o kilkanaście katarów i gryp za długo.

Rzecz drobna — i niedrobna zarazem. Bo rzeczy takich jest jeszcze wiele. Bo rzeczy podobne w niejednym jeszcze człowieku wywołują przeświadczenie, jakoby socjalizmu nie można było oddzielić od biurokracji, budzą wątpliwość, czy jest on zdolny do walki z ludzkimi bólami. Rzeczy podobne nierzadko jeszcze przeszkadzają temu lub owemu w zbliżaniu się do Polski Ludowej.

Dlatego cieszę się, gdy czytam o kandydatach na radnych blisko znających ludzi i sprawy. Dlatego cieszę się wraz z chłopami owych gromad, w których będą rady gromadzkie i wraz z chłopami innych gromad, które zbliżą się do rad. Ta bliskość między władzą ludową a ludnością pomoże skuteczniej walczyć z wszystkim, co ulepszeniu życia przeszkadza: z obojętnością, bezdušnością, formalistyką, biurokracją, umywaniem rąk. Ta bliskość władzy ludowej pomoże szybciej i konsekwentniej realizować jeden z ważnych celów socjalizmu: ŻEBY CZŁOWIEKOWI DO CZŁOWIEKA BYŁO BLIŻEJ.

KAMIŁA CHYLIŃSKA

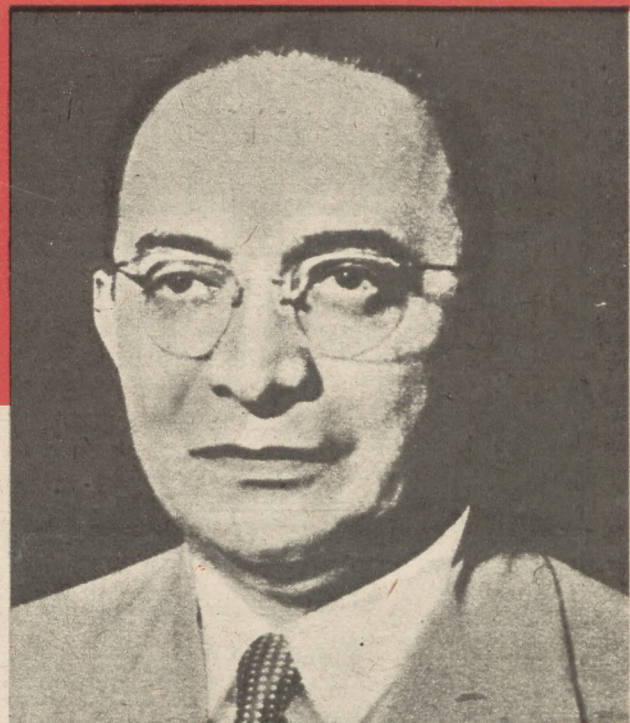
TO, CO
DOBRE
dla



Z teki grafiki brazylijskiej RENINY KATZ

„GENERAL MOTORS“

JOSE MIGUEL VARAS



Cafe Filho podoba się amerykańskim businessmenom.



„Czy jesteś już w posiadaniu swojej części Brazylii?“ — na to pytanie amerykańskiego pisma większość koncernów USA może odpowiedzieć twierdząco. A tymczasem w Brazylii na każdy tysiąc dzieci umiera sto siedem.

BRAZYLIA jest krajem niezmiernie bogatym. Mimo to większość Brazylijczyków żyje w nędzy. Czemu tak jest? Po części wskutek stałego kryzysu rolnego, który wynika z faktu, że ośmiu milionom chłopów brak jest ziemi, podczas gdy 82 procent ziemi znajduje się w rękach 14 procent ludności rolniczej.

Wzburzone tłumy, które wyległy na ulice po samobójstwie Vargasa, dały jeszcze inną odpowiedź: Brazylijczycy są biedni, ponieważ prawie wszystko to, co w ich kraju posiada jakąkolwiek wartość, należy do Jankesów; ponieważ miliardy dolarów pochodzące z bogactw Brazylii odpływają z kraju do kieszeni Jankesów.

CZY BRAZYLIA NALEŻY DO JANKESÓW?

Przed paru laty w jednym z amerykańskich czasopism przeznaczonych dla businessmenów pojawiło się pewne ogłoszenie. Miało ono zmienny nagłówek: „Czy jesteś już w posiadaniu swojej części Brazylii?“

W chwili obecnej nie ma już ani jednego większego koncernu w Stanach Zjednoczonych, który nie posiadałby swego udziału w bogactwach Brazylii. Oto przykłady:

- United States Steel kontroluje wydobycie i obróbkę rudy żelaza i manganu;
- Firestone i Goodyear zmonopolizowały produkcję kauczuku oraz wyrobów kauczukowych;
- Wilson, Swift and Armour kontroluje przemysł mięsny i konserwowy oraz posiada rozległe obszary ziemi;
- Bung and Born — jest właścicielem 84 procent produkcji maki;
- Electric Bond and Share ma w swych rękach 3/4 przemysłu energetycznego, przedsiębiorstw telefonicznych i gazowni;
- General Electric stoi na czele grupy siedmiu spółek (na ogólną liczbę 9), które produkują artykuły elektrotechniczne;
- DuPont panuje w przemyśle chemicznym;
- Przemysł samochodowy (który składa się jedynie z zakładów montażowych, części bowiem wykonywane są w USA) opanowany jest przez General Motors i przez Forda;
- Siedem spółek północno-amerykańskich kontroluje 43 procent eksportu kawy z Brazylii.

I tak dalej... I tak dalej... Lista sięga wielu setek. Według brazylijskiej publikacji pt. „Emancipacao”, cytowanej w kwietniu 1952 roku przez fachowe pismo „Conyuntura Económica”, 70 procent całego przemysłu brazylijskiego pozostaje pod kontrolą północno-amerykańskiego kapitału.

Bezpośrednie inwestycje Stanów Zjednoczonych w Brazylii w roku 1952 sięgały 1.013 milionów dolarów.

Ujawnione oficjalnie dochody z tych kapitałów wyniosły w Brazylii w ostatnim roku 148 milionów dolarów. Zyski rzeczywiste były jednakże o wiele większe. Zdaniem Vargasa (według jego testamentu politycznego), w niektórych wypadkach sięgały one astronomicznego współczynnika 500 procent.

Zyski takie możliwe były dlatego m. in., że robotnikom brazylijskim płacono 1/6 stawek robotników północno-amerykańskich...

JAK ŻYJĄ BRAZYLJCZYCY?

Oto jak przedstawiają się w ogólnym zarysie warunki życia przeważającej większości narodu brazylijskiego:

PLACE: „Place w przemyśle wynosiły w roku 1938 tylko 11 dolarów miesięcznie; obecnie, przeciętnie, sięgają nieco ponad 50 dolarów miesięcznie, ale wzrost stopy życiowej — jaki ta zwyczaj przyniosła — zniknął wraz z szybkim postępem inflacji”. (Tygodnik nowojorski „The Nation”, 4 września 1954).

KOSZTY UTRZYMANIA: Brazylijski Instytut Geograficzny w swym roczniku statystycznym podał na początku roku bieżącego, że koszty utrzymania między rokiem 1939 a czerwcem 1953 roku wzrosły średnio o 618,2 procent. Produkty spożywcze podrożały o 743,1 procent, opłaty za komorne — o 684,6 procent, a odzież — o 639,9 procent.

WARUNKI MIESZKANIOWE: „Milionom Brazylijczyków brak jest miejsca, w którym mogliby żyć przyzwoicie” („U. S. News and World Report”, 3 września 1954).

NIEDOŻYWIENIE: „Produkcja środków spożywczych jest bardzo niska. Wielu ludzi cierpi głód” (to samo źródło).

SMIERTELNOŚĆ: Wśród dzieci sięga 107 na tysiąc (w Stanach Zjednoczonych — 29, w Chile — 180).

ZDROWOTNOŚĆ: na 100 tysięcy mieszkańców przypada 38 lekarzy (w Stanach Zjednoczonych — 134, w ZSRR — 142).

ANALFABETYZM: 56,6 procent (wg „Brazylijskiego Rocznika Statystycznego 1951”).

TACY JAK ZAWSZE

W sierpniu roku bieżącego Ernest T. Weir, prezes National Steel Corporation, który często „mówi to, co myśli”, jasno wyraził zamiar businessmenów USA: „Nie pozwolimy na rozwój rodzimego przemysłu ciężkiego w Brazylii”. Powiedział to z okazji rokowań o pożyczkę Banku Eksportowo-Importowego Stanów Zjednoczonych dla brazylijskiej stalowni — Volta Redonda.

Weir uznał za sprawę „szczególnie żywotną niedopuszczenie do tego, aby nasze dolary szły na finansowanie konkurencyjnych zakładów metalurgicznych”. Uskarżał się on, iż „każdy kraj Ameryki Południowej uważa, że powinien posiadać własną stalownię”. („The New York Times”, 18 sierpnia 1954).

W Kongresie Stanów Zjednoczonych członek Izby Reprezentantów, Charles A. Wolverton, oświadczył w imieniu przemysłowców z branży stali: „Dążenie do własnej produkcji stali w krajach (płd.-am. — przyp. red.) w tym kierunku, aby mogły stać się one samowystarczalne, pociągnie za sobą ujemne skutki dla północno-amerykańskiego przemysłu stalowego”. Dodał on, że dla północno-amerykańskiego przemysłu stali Ameryka Południowa jest „naturalnym rynek eksportowym i nadal powinna nim być”. („New York World-Telegram and Sun”, 11 sierpnia 1954).

PODRÓŻ HOLLANDA A PRZEMYSŁ NARODOWY BRAZYLII

Henry F. Holland, podsekretarz stanu USA do spraw międzyamerykańskich, zajmował się tym samym tematem w dniu 8 września, gdy przybył do Rio de Janeiro. „New York Times” pisał o tym następująco:

„Zadaniem mr Hollanda w czasie jego obecnego objazdu krajów Ameryki Południowej będzie przekonanie jej mieszkańców — w Brazylii w sposób bardziej niż gdziekolwiek indziej dobitny — o tym, iż pożądane jest, by gospodarka ich krajów była uzupełnieniem ekonomiki Stanów Zjednoczonych”.

Jednakże wysiłki Hollanda, zmierzające do tego, by Brazylia nadal była dobrym nabywcą produktów północno-amerykańskich, nie odniosą zamierzonego skutku. W kraju tym nastąpiły bowiem radykalne zmiany.

Prawdą jest, iż większość przemysłu należy do USA, jak i to, że położono nacisk na rozwój przemysłu lekkiego i na zakładanie fabryk montażowych, działających w oparciu o części fabrykowane w Stanach Zjednoczonych. Ale ważne jest również i to, że klasa robotnicza nie zgadza się z zasadą głoszącą, iż „to, co jest dobre dla General Motors, dobre jest dla Brazylii”...

Jednocześnie, niezupełnie zgodnie z „ideologią” General Motors, rozwinęła się niezależna burżuazja brazylijska, stanowiąca groźną konkurencję dla interesów



Tajemnicza jama przysłonięta fundamentami świątyni władcy słońca Szamasza. Wypełniona po brzegi piaskiem i różnymi kamieniami zawierała na samym dnie jedynie kawałki glinianego, misternie zdobionego dzbanu.



Dar króla Iahdun-Lim dla bóstwa słońca — Szamasza — w podzięce za zwycięstwa swej armii



Rzeźba głowy wielkiej śpiewaczki sprzed 40 stuleci, Ur-Nansze, znaleziona w świątyni Ninni-Zaza



Pełna wyrazu rzeźba obrazująca postać modlącego się. Charakterystyczny jest układ rąk i nóg

W Y K O P A L I S K A SPRZED 45 WIEKÓW

WYDAWAŁO się, że świątynia nie kryje już w sobie żadnych więcej tajemnic. Studiując grubą terrakotową płytę, usianą gęsto pismem klinowym, uczeni dowiedzieli się ostatecznie, iż zbudował świątynię król Iahdun-Lim, który w podzięce za zwycięstwa swej armii poświęcił ją władcy słońca, Szamaszowi. Zbadano także wielkie ołtarze, fragmenty pięknych rzeźb z kości słoniowej i macicy perłowej, obejrzano mury i fundamenty świątyni. Na tym zamierzali archeologowie swe prace zakończyć.

W pewnym momencie jednak uczeni zauważyli, że jeden z fundamentów świątyni przysłaniał sobą mały, jak gdyby zamaskowany budynek. Znowu poszły w ruch łopaty. Powoli ze zwalów ziemi wyłoniła się prostokątna jama, wypełniona po brzegi piaskiem i kamieniami. Pieczołowicie, aby nie uronić ani jednego ziarenka, przesypany piasek, badano każdy kamyk. Na samym dnie znaleziono jedynie misternie zdobioną skorupę glinianego dzbanu.

Trudno jeszcze w tej chwili dociec, jakie było przeznaczenie tajemniczego budynku. Może był to królewski grobowiec, a może kaplica ślubna. Każda hipoteza jest do przyjęcia. Zagadkę tę rozwiązać mogą tylko dalsze intensywne badania.

Okolice miasta Mari, leżącego w dolinie środkowego Eufratu, są obecnie terenem niezmiernie ciekawych prac archeologicznych. Już od kilku lat ekipa francuskich uczonych prowadzi tam uciążliwe badania nad poznaniem kultury zamieszkujących te ziemie ludów. Odsonięte dotychczas mury, wydobyte rzeźby i płyty kamienne pozwoliły stwierdzić, że budowle powstały około 4.500 lat temu.

Poszukiwania przynoszą wciąż nowe rewelacje. W końcu ubiegłego roku od-

kopano trzy wspaniałe świątynie, ofiarowane boginiom Isztarat, Ninni-Zaza i bogowi Szamaszowi.

Dwie z nich okoliczne są grubymi murami obronnymi. Strzegły one przed wtargnięciem niewiernych, a może i przed własnymi wyznawcami siedzibę bóstw, zbudowaną w kształcie wschodniego domu z dużym podwórzem pośrodku. Szczególnie interesujące okazało się podwórze świątyni ofiarowanej bogini Ninni-Zaza. Wśród szczątków kolumn i ołtarzy ofiarnych znaleziono tam betyl — święty kamień, który swym wyglądem przypomina dużą głowę cukru; wyobrażał on przypuszczalnie bądź samo bóstwo, bądź jego tron. Betyl ten uważany jest za jeden z najstarszych spośród odkrytych dotąd tych świętych kamieni. Jego ogromna wartość naukowa nie wynika jednak tylko z sędziwego wieku. Nie mniej ważne, jeżeli nie ważniejsze, jest jego położenie: dotąd betyle znajdowano jedynie na wybrzeżu Morza Śródziemnego i utożsamiano je z obrzędami religijnymi Fenicjan; odkrycie świętego kamienia tak daleko w głąbi lądu nasuwa uczonym hipotezę o jedności wierzeń i obyczajów zarówno ludów zamieszkujących dolinę Eufratu, jak i brzegi Morza Śródziemnego. Przypuszczenie to, o ile tylko uda się je poprzeć dalszymi dowodami, przyspieszyć może i ułatwić dalsze prace badawcze.

W świątyni Ninni-Zaza wykopano również piękną rzeźbę głowy starej kobiety. Przez dłuższy czas pozostawała ona anonimowa. Podobieństwo rysów z wydobytą wcześniej figurką młodej dziewczyny pozwala przypuszczać, iż jest to fragment posągu wielkiej śpiewaczki sprzed 4 tys. lat, Ur-Nansze.

Prace w okolicach Mari są w pełnym toku. Ile jeszcze tajemnic kryje tu się w głębiach ziemi — pokaże przyszłość. (olb.)



Uciążliwe badania uczonych francuskich pozwalają poznać kulturę ludów zamieszkujących okolice miasta Mari 4.500 lat temu. Oto fragmenty rzeźb z kości słoniowej i macicy perłowej znalezione w świątyni boga Szamasza.

NA PODSTAWIE MARTWEJ WIZY

STEFAN ARSKI

Na podstawie Martwej Wizy
Pozwolono im, pijanym
Widmom sinym i rozchwytanym,
Tulać się i straszyć ludy
Nad rzekami Babilonu...
I rzygają do Tamzy,
I rzygają do Sekwany,
I rzygają do Hudsonu.

JULIAN TUWIM

EMIGRACJE myślą zawsze o odzyskaniu przeszłości — píše paryska „Kultura” w numerze 12 74 z grudnia 1953 roku. — Natomiast narody nigdy nie walczą o przeszłość, lecz zawsze o przyszłość. (Podkreślenia oryginału).
Więc marzą o tamtej Polsce. Polsce bezrobocia i nędzy, zastoju gospodarczego i beznadziejnej vegetacji milionów,

Polsce chronicznego kryzysu rolnego i ośmiu milionów „zbędnych na wsł”, Polsce zatapianych kopalń i wygaszanych wielkich pieców, Polsce analfabetyzmu i ciemnoty, wlekącej się w ognie najbardziej zacofanych krajów Europy. No i, oczywiście, Polsce Berezy i „łamania kości”, policyjnej pałki i rozbitej soldateski. Bo, dzięki temu, tamta Polska miała i swoją drugą stronę medalu: rauty na Zamku i hulanki w Adrii; polowania w Białowieży i ruletkę w Monte Carlo; majątki Radziwiłłów i folwarki Sosnkowskich i sojuszy jednych z drugimi przypieczetowany toastem Piłsudskiego w Nieświeżu; wizyty Goeringów, Goebbelsów i Franków tu, a Becków, Kordianów-Zamorskich i Grabowskich tam. I długie, serdeczne rozmowy na temat wspólnej wyprawy na Wschód po cudze dobro i cudzy pot, by więcej wina i wódki płynęło w Adrii, więcej złota w Monte Carlo, więcej krwi od salw granatowych policjantów i czarnych SS-manów.

Posłuchajmy, jak emigracyjny działacz, p. Jan Matłachowski, charakteryzuje trzech głównych wodzów reakcyjnej emigracji polskiej, ich cele, postawy, dążenia („Memoriał dla krajowej komendy WiN”, datowany 30 czerwca 1950 roku):

„Anders. Wyraża Anders głęboko zakorzenione w kołach wojskowych tendencje do ingerowania wojska w politykę, a nawet supremacji sztabu czy naczelnego wodza nad rządem. Tendencje te wszczepił w armię Piłsudski, a w niemałym stopniu wzorowane są na wzorach niemieckich... Przejął je z kolei nawiązując do tradycji Rydza Smigłego, ambicjonując się na nowego Piłsudskiego, Anders. Przy Andersie, jako hetmanie-polityku, starają się skupić różnego autoramentu grupy faszystyzujące, od piłsudczyków po ONR. Stają na baczność przed generałem ponadto różnej maści i kalibru figury polityczne, jak profesor Stronński, dr Stahl czy quasi-socjaliści. Piłsudczyzna, która instytucję hetmana-polityka wypieściła, samego Andersa traktuje jako powolne narzędzie swych celów i tendencji, w gruncie rzeczy jest on w niemałym mierze narzędziem piłsudczyzny”.

A ku czemu zmierzają ów „ambicjonujący się na nowego Piłsudskiego” watażka polityczny w generalskim mundurze? Odpowiada Matłachowski:

„Anders, wzorujący się na Piłsudskim i Rydzu, dąży do ukrytej dyktatury, przy czym marzy mu się prezydentura. Na rzecz Andersa i przyczajonej za jego plecami sanacji pracować i działać mają wojsko i korpus policji, który Anders ma zamiar stworzyć jeszcze na emigracji, różnego autoramentu „dwójki”, piłsudczyzna i jej mafie, ONR we wszystkich odmianach, różne „stronictwa”, jak Stronictwo Ludowe „Wolność”, niezależni socjaliści, Stronictwo Pracy spod znaku Józwiaka i Modrzewskiego; liczy ponadto Anders na poparcie Bieleckiego oraz sił, które ten ostatni potrafi wokół siebie skupić.

Państwo Andersa, przy fasadzie demokratycznej, byłoby państwem wojskowo-biurokratycznym, rządzanym autorytatywnie. Toteż Anders liczy na poparcie byłych oficerów i podoficerów, byłych urzędników, nie wylaczając emerytów...”

Tak ma być urządzona Polska pana Andersa od wewnątrz. Taka Polska pomajowa a przedwrześniowa, wzbogacona doświadczeniami hitlerowskimi i emigracyjnymi.

A w polityce zagranicznej? Och, również nic nowego. Stara koncepcja wyleńałego i bezzębnego imperializmu polskiego, marzącego o podporządkowaniu sobie krajów sąsiednich od Bałtyku po morze Czarne, czyli „od morza do morza”, zwana w ich języku „Międzymorzem”. Tu przyznać trzeba panu Andersowi pewną inwencję twórczą. Jego „Międzymorze” nie ma być takim zwykłym „Międzymorzem”, ale... dwójkarskim „Międzymorzem”. Czytamy w memoriale p. Matłachowskiego:

„Zasadniczą koncepcją obozu Andersa jest „Międzymorze”. Międzymorze to jednak nie ma być porozumieniem narodów, opartym na współpracy gospodarczej i kulturalnej, ale kartelem militarnym powołanym do życia przez sztaby generalne i ich dwójki”.

Słowem — taki międzynarodowy Oświęcim „od morza do morza”, tylko zamiast SS-manów — zandarmi pana generała. Oto „ideał” Andersa.

Przyjrzyjmy się z kolei ideałowi p. Bieleckiego, wodza endeków. Znowu sięgamy do memoriału Matłachowskiego. Píše o swym koledze partyjnym krótko:

„Bielecki, to umysłowość konserwatywna, pozabawiona twórczej wyobraźni, kunktator, dla którego ideałem byłby powrót do epoki sprzed 1939 roku z tym, że sanację miałaby zastąpić bieleccyzna. Bieleckiemu obcy jest duch demokracji czy reform społecznych, nie umiałby wyjść poza ciasne opłotki nacjonalizmu... W praktyce nie odbiegłby od wzoru, jaki w Polsce przedwrześniowej stworzył Rydz”.

Istotnie, twórczej wyobraźni panu Bieleckiemu najwyraźniej brak. Po prostu Rydz i — nic.

A teraz słów kilka o panu Mikołajczyku, tym, który na emigracji tak chętnie pozuje na „prawdziwego demokratę”, a nawet czyni Andersowi, Bieleckiemu i Zaleskiemu wyrzuty, że tego demokratyzmu nie potrafili sobie jakoś przyswoić na Zachodzie. Píše Matłachowski:

„Mikołajczyk — prezes chłopskiej międzynarodówki, w obawie przed masami, przygotowuje antydemokratyczne rządy dla krajów za żelazną kurtyną... To on chce organizować emigracyjny korpus bezpieczeństwa dla pacyfikacji kraju po wyjściu armii czerwonej”.

Oto rewia emigracyjnych „ideałów”. Owszem, różnice są, nie da się zaprzeczyć. Jeden woli „dwójkę”, a drugi specjalny „korpus bezpieczeństwa”. Ten chce po prostu kopiować Rydza, a tamten ma po prawki do przedwojennego pierwowzoru. No i każdy myśli, że jemu przypadnie w udziale rola nowego Piłsudskiego.

A WRN? — zapytacie. Co myśli WRN? Prawdę mówiąc, nieważne. WRN obeszło już wszystkie emigranckie podwórka. Czepiało się wozu Mikołajczyka, przeskoczyło na wóz Bieleckiego, ka-dziło Andersowi, teraz biega za Sosnkowskim.

„Ideal”? Syntetyczny: mikołajczykowski korpus bezpieczeństwa z andersowskim kartelem dwójkarskim od morza do morza, nacjonalizm bieleccyzny z piłsudczyzną wszelkiego autoramentu. No, i jak najwięcej policji. Wtedy dopiero czują się bezpieczni.

Wiemy już więc c o. A teraz godzi się zapytać j a k?

SENS emigracyjnych bojów o tzw. legalizm — powiada pan Mieroszewski w artykule ogłoszonym w numerze 9 33 paryskiej „Kultury” z września 1954 roku — „opiera się na jednej przesłance, a mianowicie, że wrócimy”.

I dalej:

„Z politycznego punktu widzenia legalizm posiada pewną wartość tak długo, dopóki istnieje możliwość wybuchu wojny z Sowietami jeszcze za naszego życia” (podkr. moje — St. Ar.)

Oto macie odpowiedź na pytanie: jak? Poprzez wojnę. Ale wojnę szybko, jak najszybciej, albowiam „emigracja starzeje się”.

P. Mieroszewski jest jednakże pesymistą: „Trzeba jednak stwierdzić, że szansa dożycia owej

chwili przez nasze pokolenie maleje z każdym rokiem, a tym samym przydatność legalizmu jako instrumentu politycznego topnieje również z każdym rokiem.

Nie jest wykluczone, że ani do konfliktu, ani do poważniejszych przemian nie dojdzie na przestrzeni najbliższych dwudziestu czy trzydziestu lat. Historia uczy, że wojny, które „powinny” wybuchnąć, albo w ogóle nie wybuchają, albo z półwiekowym opóźnieniem

Więc co? Ciągnie pan Mieroszewski:

„Wyobraźmy sobie sytuację polskiej emigracji za trzydzieści lat od dziś. Pokolenia legalistów już nie będzie na scenie. Polonia w 90 procentach będzie się składała z Polaków urodzonych i wychowanych na emigracji”.

A wtedy, powiada melancholijnie p. Mieroszewski, spadek po obecnych szermierzach „legalizmu” emigracyjnego „spocznie w kurzu pamiątek, wśród orderowych wstążek i pośliskłych papierów na dnie kuferków butwiejących w „box-room’ach”.

Albo mówiąc mniej sentymentalnie, na śmietniku.

P. Mieroszewski ocenia sytuację dość realistycznie. Ale p. Mieroszewski jest wśród publicystów i polityków emigracyjnych wyjątkiem. Większość, olbrzymia większość trzyma się kurczowo złudnej nadziei na powrót. Dlatego pragną wojny bardziej niż przyszłowiowa kania dżdzu. Jak magicy zapatrzeni w szklaną kulę, próbują odczytać przyszłość, ale ciękawki są tylko jednego: kiedy się zacznie? I własne widzi mi się biorą często za rzeczywistość. Prasa emigracyjna i archiwa podziemnej organizacji WiN pełne są tych prorocztw, przyobiecujących wojnę jutro, za tydzień, za miesiąc, to znowu odraczających ją z nieukrywaniem rozczarowaniem na przyszły rok, na dwa lata, no, na trzy, ale wtedy już na pewno...

Nie chcą przy tym czekać bezczynnie. O, nie. Gotowi są zrobić wszystko, by wojnę przybliżyć. By tlejące zarzewie rozdmuchać, podać dłoń pomocną każdemu podpalaczowi, ściągnąć na kraj i ludzkość katastrofę, tak jak to już raz uczynili we wrześniu 1939 roku.

Patrzcie, jacy są przy tym przebiegli, jacy podstępni i nikczemni. Oto raport delegatury zagranicznej WiN ze stycznia 1948 roku:

„Naszą polityką zagraniczną mogłoby być wykorzystywanie wszystkich naszych kontaktów do powtarzania, że tylko wojna jest w interesie świata, i do prowadzenia propagandy za jej wybuchem”.

Ale trzeba przy tym uważać, „bo nasze podszepty stworzą nam markę Kriegshetzerów” (*). Dlatego ciągnie raport — „nie mówiliśmy nigdy, że t y l k o wojna leży w naszym interesie, ale pytaliśmy, czy bez wojny i inne problemy rozwiązać można”. Na szczęście — dodają autorzy raportu — „w biegu dziejowych wypadków następuje coraz wyraźniejsze formowanie się bloku Zachodu i utrwała się przekonanie, że tylko konflikt może położyć kres obecnemu stanowi”.

Niestety, ubolewają emigranckie „Kriegshetzerzy”, sprawy nie układają się pomyślnie. „Amerykańska wojna prewencyjna może być możliwa najwcześniej w roku 1950 lub raczej nieco później — głosi raport. — Przyczyną takiej wojny mogłaby być chęć wyprzedzenia momentu, w którym Rosja rozporządzać będzie bombą atomową, wszyscy zaś rzeczoznawcy amerykańscy są zgodni co do tego, że Rosja nie będzie mieć bomby wcześniej niż około roku 1952”.

Wszyscy panowie rzeczoznawcy popełnili — jak wiadomo — małą omyłkę. Ot, i prześlepilo się moment! Wróćki emigranckie źle patrzą w szklaną kulę i brną dalej:

„Amerykanie uważają, że mają parę lat czasu; zanim Rosja zdobędzie bombę atomową, więc nie widzą powodu, by się spieszyć z wojną prewencyjną”.

Według raportu niejakiego p. Cichalewskiego z dnia 11 sierpnia 1949 roku, pan Mikołajczyk zapewnił go „na podstawie danych uzyskanych w Ameryce”, że „lotnictwo amerykańskie będzie gotowe w roku 1952”.

*) Podżegaczy wojennych (niem.).

Fragm. większej pracy, która ukaże się wkrótce nakładem „Książki i Wiedzy”.

Ale to nie tylko w pouf-
Oto emigracyjny publicyst

11

Przejście w historyę

Napisał: JÓZEF KUŚMIEREK

Najważniejsze są chyba słowa Kraszkiewiczowej: chwali sobie działalność Rady, wie, że bez niej byłoby im trudno.

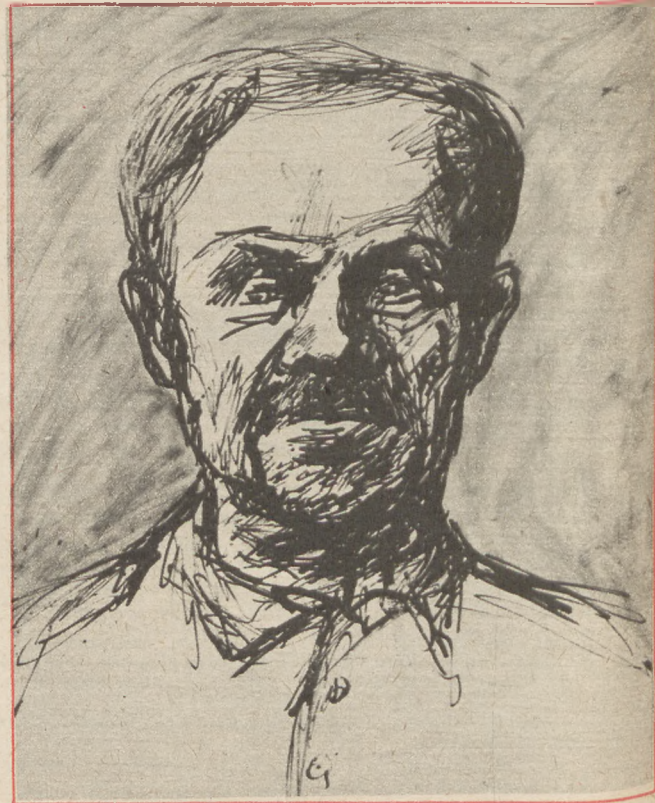


OKOLICE Grabowca nie odznaczają się ani specjalnym pięknem, ani bogactwem. Sam Grabowiec leży na nizinie, nad szeroko rozlaną, o prawie stojącej wodzie rzeką Kalinówką. Można przejechać przez tę wieś i już po chwili o niej zapomnieć, bo w jej widoku nie ma nic takiego, co by pozostawało w pamięci.

Przechodzący drogą chłopiec z ciężkimi koromysłami na ramionach i wiszącymi na nich jak szale jakieś stare wagi wiadrami wskazując nam drogę powiedział — „aby koło internatu skrócić...”

Od tego internatu, który internatem nie jest, a tylko kupą gruzów i równymi kołami białej jak wszędzie w tych stronach cegły, zaczęła się nasza, krótka, przelotna znajomość z Grabowcem i jego sprawami. Co oznacza ta dziwna jak na kupę gruzów nazwa, dowiedzieliśmy się od przewodniczącego Gminnej Rady, Franciszka Sawy. Nie przerywając swojej pracy, wyjaśnił, że nazwę tę nadano stojącej ongiś w tym miejscu starej budowli, wraz z uchwałą Gminnej Rady przeznaczającą miejsce to razem z resztkami cegieł nadających się jeszcze do budowy na internat dla jedynej w promieniu trzydziestu kilometrów szkoły stopnia licealnego. Autorami tej ważnej w dziejach nie tylko gminy Grabowiec uchwały byli radni Teodor Orzechowski oraz Antoni Mamelka, którzy jednocześnie uchwalili i na swoich wsiach uchwałę tę realizowali, aby każdy z gospodarzy opodatkował się na budowę internatu w wysokości od trzech do pięciu złotych z hektara. Tę ostatnią uchwałę już zrealizowano, do budowy przystąpią wiosną 55 roku i w tymże roku zamierzają ją zakończyć. Należy nadmienić, że inicjatywa Gminnej Rady w Grabowcu nie znalazła poparcia u tych, dla których internat ten jest najbardziej potrzebny, to jest mieszkańców sąsiednich gmin. Ich to przecież dzieci będą zamieszkiwały ten przewidziany na dwieście osób internat. Niestety, na wezwanie grabowieckiej GRN sąsiednie gminy odpowiedziały milczeniem. Podziękowaliśmy Franciszkowi Sawie za te informacje, lecz dopiero później dowiedzieliśmy się od innych już ludzi, że ten przewodniczący, który nawet na widok „warszawskiej prasy” nie przerywa

Orzechowski wie o wszystkim, wszędzie widać jego pracę



Przebiegi

Ilustrował: MAREK OBERLÄNDER



Antoni Mamelka zgłasza wniosek o budowie cegielni.

swojej normalnej pracy. potrafi odłożyć ją, gdy trzeba przejść na dach przyszłej siedziby Gromadzkiej Rady Narodowej w Szostowicach, aby własnoręcznie ułożyć dachówki i zawstydić tym tych, którzy to sami powinni zrobić. to jest szostowickich gospodarzy.

Po trzech godzinach pobytu w tej wsi dużo już bym mógł o niej napisać. Chciałoby o machinacjach niejakiemu Kubali z hrubieszowskiego PZGS-u; ale może i nie warto, skoro winni tamtych spraw pociągnięci już zostali do odpowiedzialności. Wszędzie jednak, jakiej by sprawy się nie dotknąć, wymieniają nam nazwisko Orzechowskiego, Mamelki, Kocaja Bronka — radnych GRN. Ale kto inny jak właśnie stary Orzechowski zrewidował poprawił niezbyt sprawiedliwy plan pomocy sąsiedzkiej porządzony przez sołtysa Władysława Skórę; i nie tylko



Przechodzący drogą chłopiec z ciężkimi koromysłami na ramionach poradził, aby później skrócić kolo internatu

to. Sam, mimo swoich sześćdziesięciu lat, mimo to że tylko z żoną pracuje na swoim trzy i półhektarowym gospodarstwie, zwalał swoich sąsiadów i pewnego ranka zwieźli choremu od dwudziestu lat Kraszkiewiczowi zboże.

Wiemy, czyja to ręka podrzuciła później Orzechowskiemu listy zaczynające się od słów: „Lepiej żebyś zaprzestał tej pracy, bo jak się spotkamy w ciemnym kącie...” Ale ważniejsze są chyba słowa Kraszkiewiczowej, że Rada pomaga im jak może, a bez tej pomocy nie daliby sobie rady.

Nie tylko tym zajmuje się Rada i jej radni w Grabowcu. Antoni Mamelka, ten sam, który wysunął projekt opodatkowania się na budowę internatu, postawił wniosek (i bije się o jego realizację!) budowy cegielni, także potrzebnej bardzo w tych stronach. On to postawił wniosek,

który uchwalono, regulacji rzeki Kalinówki, regulacji, która w samym tylko Grabowcu dałaby trzysta hektarów dodatkowych łąk, nie mówiąc już o osuszeniu łąk i bagnisk, które ciągną się wzdłuż tej rzeczki jeszcze aż w powiecie zamojskim. Niewiele nawet potrzeba do tej regulacji — materiałów prawie żadnych i gdyby to tylko od Gminnej Rady zależało, to na pewno byłaby ona już na ukończeniu. Niestety — potrzebna jest tu jeszcze decyzja władz wyższych, które... — no, ale to już byłby temat oddzielnego reportażu.

Tyle o Grabowcu. Może nie pojechalibyśmy tam gdzie trzeba? Może źle zrobiliśmy, że o pracach Rady dowiadaliśmy się od ludzi spotykanych na drogach? Ale mnie się wydaje, że oni najlepiej wiedzą, jak ich Rada pracuje...

Przewodniczący GRN Franciszek Sawa nie lubi zbędnych słów. Przede wszystkim praca.

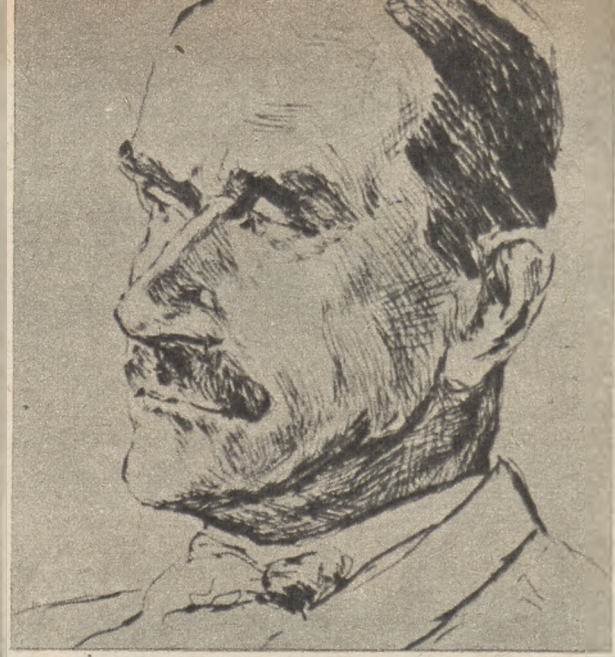


Grabowiec leży na nizinie, nad rozlaną, o prawie stojącej wodzie rzeką Kalinówką.



O RODZINIE MANNÓW I RODZINIE BUDDENBROOKÓW

MARCELI RANICKI



Tomasz Mann (wg rysunku Liebermana)

GDY zamożny kupiec lubecki senator Tomasz Henryk Mann umierał w roku 1891, nie mógł on jeszcze wiedzieć, że nazwisko jego uzyska sławę światową i że dziwnym zbiegiem okoliczności zdobędą ją spośród jego pięciorga dzieci ci dwaj synowie, którzy noszą jego imiona. Co więcej: nie mógł nawet przewidzieć, w jakiej dziedzinie sławę tę zdobyć by mogli.

Pewne było jedynie to, iż do handlu, który był tradycją rodziny już od kilku pokoleń, obaj synowie nie mieli ani zdolności, ani zamiłowania. Toteż wkrótce po śmierci ojca Dom Handlowy Mannów, cieszący się w Lubecie od wielu lat jak najlepszą sławą, został zlikwidowany. Czym zajmą się synowie? Czy zarobią na życie? Pewien pastor lubecki, najwidoczniej skłonny do pochopnych sądów, z niepokojem przypatruje się losom synów po śmierci ojca i mówi już o „przeżartej zgnilizną rodzinie”.

I rzeczywiście synowie Henryk i Tomasz zapowiadali się podówczas niezbyt obiecująco. Obaj zdradzali bezsprzecznie zdolności artystyczne — lecz raczej mało wybitne. Dwudziestoletni Henryk, który po ukończeniu gimnazjum uczył się w Dreźnie i niebawem później w Berlinie księgarstwem, zdradzał zdolności malarzskie. O cztery lata młodszy Tomasz uczęszczał jeszcze do gimnazjum, był wyjątkowo marnym uczniem, wykazywał natomiast zainteresowania i zdolności muzyczne.

Zamiłowaniom młodości obaj bracia pozostali wierni przez całe życie, choć właściwym ich powołaniem — co ujawniło się w kilka lat później — była literatura. W powieściach i nowelach Tomasza Manna — od „Buddenbrooków” aż po „Doktora Faustusa” — muzyka odgrywa bardzo istotną rolę. Henryk Mann zaś stał się wielkim malarzem, a niekiedy także karykaturzystą swojej epoki — choć zamienił pędzel na pióro. Nie od razu wszakże odnaleźli obaj bracia swe właściwe powołanie.

Władze lubeckiego gimnazjum nie poświadczyły „dojrzałości” Tomasza Manna. Z trudem otrzymał świadectwo odpowiadające naszej „małej maturze”, opuścił gimnazjum i Lubekę. Udał się do Monachium, gdzie rozpoczął pracę w biurze towarzystwa ubezpieczeniowego. W biurze, tak samo jak w szkole, przełożeni nie mieli pociechy z młodego Tomasza. Postąpił jednak mądrze: nie dopuścił do tego, by wyrzucono go z pracy, sam z niej zrezygnował. Słucha wykładów na uczelniach monachijskich, pisze pierwszą nowelę i wyjeżdża na dwa lata do Włoch, gdzie wraz ze swoim bratem Henrykiem prowadzi swobodny, młodzieńczo burzliwy tryb życia.

Henryk bowiem także szybko porzucił swoją pracę, studiował przez pewien czas na uniwersytecie berlińskim, ale i tu długo wytrzymać nie mógł: przeniósł się z kolei na uniwersytet w Monachium, a stamtąd wreszcie — na kilkuletni pobyt do Włoch.

Nie bardzo pięknie zapowiadała się wówczas przyszłość dwóch braci. Zdawać się mogło nieomal, iż ponura opinia owego sceptycznego pastora lubeckiego nie była tak daleka od prawdy. Jednakże miało się stać inaczej.

W 1900 roku ukazuje się pierwsze wybitne dzieło Henryka Manna, powieść „W kraju pieszczonych gołąbków”. W rok później młodszy brat Tomasz publikuje swój pierwszy większy utwór. Jest to okazała dwutomowa książka, samym swym rozmiarem budząca niepokój czytelników. Ale jest to arcydzieło: powieść „Buddenbrookowie”.

Pierwotnie miało to być krótkie opowiadanie. Potem rękopis rozrósł się do 250 stron, potem rósł jeszcze bardziej, aż w końcu powstały dwa spore tomy. Początkowo autor wcale nie myślał o opublikowaniu swego utworu: przeznaczył go dla rodziny, która teraz mieszkająca w Monachium w warunkach dużo skromniejszych niż poprzednio, czasy lubeckie należały już do przeszłości, do historii rodzinnej.

Historię tę, którą Tomasz znał z opowiadań krewnych, z bogatego archiwum rodzinnego i wreszcie z własnych wspomnień, chciał wskrzesić, przypomnieć

najbliższym. Gdy zdecydował się na oddanie rękopisu do wydawnictwa, do publikacji — mocno obawiał się o losy swego utworu. Wydawca był nie mniej sceptyczny. I nie bez przyczyn: recenzenci odnieśli się do nowej powieści bardzo krytycznie, narzekali na jej dużą objętość. Jeden z ówczesnych krytyków, „widać szczególnie bystry, porównał opowieść o czterech pokoleniach do „furgonu mozołnie przekopującego się przez piachy”. Toteż w pierwszym roku sprzedano zaledwie tysiąc egzemplarzy książki.

Wydawca próbował ratować sytuację: szło mu nie tyle o autora, ile o siebie, gdyż druk kosztował dużo. Wpadł więc na niezłą myśl: skoro publiczność i recenzenci niechętnie patrzą na dwutomową powieść — trzeba z niej zrobić powieść jednotomową. Kazał wydrukować nowe wydanie na cienkim papierze i w ten sposób ukazała się książka jednotomowa, dużo tańsza.

Chwyt podziałał. Czytano dużą powieść, szybko wyczerpywały się nakłady, trzeba było drukować wciąż nowe wydania. Książkę przetłumaczono na obce języki, stopniowo na wszystkie języki świata cywilizowanego, i tak oto dzieje lubeckiego rodu Buddenbrooków znalazły miliony czytelników na całej kuli ziemskiej. Cóż za triumf dwudziestopięcioletniego autora!

Zastanawiano się, czy powieść niemiecka cieszyła się już kiedyś tak ogromnym powodzeniem. Trzeba było daleko cofnąć się w dzieje literatury, o jakieś 130 lat. Wtedy to powieść niemiecka odniosła niespotykany sukces. Było to dzieło młodego — przypadkiem zresztą także dwudziestopięcioletniego — autora, z zawodu prawnika, który w wolnych chwilach pisywał różne utwory literackie. Tenże prawnik, pochodzący z zacnej frankfurckiej rodziny von Goethe, zadziwił wówczas świat opowieścią o „Cierpieniach młodego Werthera”. Ale było to już bardzo dawno.

Teraz powieść niemiecka ponownie zyskała sławę międzynarodową, która okazała się wcale długotrwałą: w ciągu pięćdziesięciu kilku lat poczytność kroniki rodziny Buddenbrooków nie zmalała — co raz to nowe pokolenia zachwycają się tą znakomitą powieścią.

AKCJA „Buddenbrooków” zaczyna się w roku 1835, kończy w 1877. Tematem powieści są odtworzone na przestrzeni blisko pół wieku losy czterech kolejnych generacji rodziny mieszczańskiej.

Pierwszą generację reprezentuje stary Johann Buddenbrook, dzielny kupiec, człowiek krzepki, czerstwy i prostolinijny. Pod jego kierownictwem istniejąca już od wielu lat firma handlowa Buddenbrooków przynosi znaczne zyski — jest to pomyślny dla burżuazji okres wczesnego rozwoju kapitalizmu.

Następne pokolenie, reprezentowane przez konsula Buddenbrooka, odznacza się bogatszym życiem wewnętrznym. Konsul jest czło-

wiekiem subtelniejszym, bardziej romantycznym, ale jeszcze dostatecznie praktycznym i rzeczowym, by zachować stan posiadania firmy, by kontynuować historię rodziny, nie zmieniając swych tradycyjnych zasad kupieckich. Ale już w życiu samotnego i w gruncie rzeczy niezbyt szczęśliwego konsula zjawiają się ludzie, reprezentujący nowy typ burżuazji i nową „moralność”, całkowicie odmienną od patriarchalnych tradycji Buddenbrooków. Pierwszy mąż Tony Buddenbrook, hamburski kupiec i oszust Grunlich, oraz jego bankier, okrutny lichwiarz Kesselmeier — to typy zapowiadające stopniowe przechodzenie wolnego handlu wczesnego okresu kapitalizmu do drapieżnego i brutalnego w środkach handlu epoki imperializmu.

W losach konsula Buddenbrooka podstawowy konflikt społeczny powieści jest tylko lekko zaznaczony. W życiu jego syna Tomasza, reprezentującego trzecią z kolei generację, konflikt ten zajmie miejsce centralne. Poglębiający się kryzys i coraz ostrzejsze sprzeczności wewnętrzne ustroju kapitalistycznego znajdują odbicie w losach firmy i wywierają przez to decydujący wpływ na oblicze psychiczne jej szefa, Tomasza. Konflikt Tomasza z otaczającą go rzeczywistością powoduje w konsekwencji — by zacytować znamieny podtytuł powieści — „upadek rodziny”. Na czymże kon-



flikt ten w istocie swej polega? Kluczem do właściwego jego zrozumienia, i tym samym — do zrozumienia ideologicznej koncepcji „Buddenbrooków” jest jedna ze scen części ósmej.

Pewien zadłużony junkier proponuje Tomaszowi za pośrednictwem jego siostry Tony sprzedaż całorocznych zbiorów „na pniu”. Propozycja nieuczciwej transakcji oburza Tomasza. „Czyż nie pojmujesz — mówi do Tony — że doradzasz mi coś wysoce niegodnego, jakieś brudne manipulacje? Wykorzystać trudne położenie tego ziemianina, uderzyć bezbronno? Zmusić go do odstąpienia całorocznego plonu za połowę ceny, by zagarnąć lichwiarski zysk?”

Jednakże jego pierwotna, tak stanowcza reakcja ustępuje niebawem miejsca różnym rozmyśleniom. Wszakże sytuacja finansowa firmy jest w tym okresie coraz gorsza. Tony w dramatycznej rozmowie z Tomaszem wyraża wątpliwości, czy Hagenström, właściciel innego wielkiego domu handlowego w Lubece, miałby zastrzeżenia natury moralnej, powstrzymujące go od zawarcia podobnej transakcji. Hagenström — to pełnokrwisty przedstawiciel nowych metod kupieckich. Hagenströmcowie w swej bezwzględnej walce konkurencyjnej wypierają Tomasza Buddenbrooka, który przeżywa głęboką tragedię, gdy ma „zapoczątkować podobne manewry”.

Konflikt Tomasza jest więc konfliktem człowieka, który pojmując, iż nieubłagany rozwój życia domaga się od niego rezygnacji bądź to z odziedziczonych zasad etycznych, bądź też z zajmowanej pozycji społecznej. Tego konfliktu Tomasz nie potrafi rozwiązać: znajduje jedynie pocieszenie w filozofii Schopenhauera. Pesymizm tej filozofii usprawiedliwia — w mniemaniu Tomasza — jego własny kryzys psychiczny, jego coraz silniejszy rozstrój wewnętrzny.

Rozterka Tomasza jest więc odbiciem sprzeczności między teorią a praktyką, między kupiecką etyką oderwaną od rzeczywistych warunków społecznych a faktycznym rozwojem moralności burżuazji w epoce kapitalizmu.

Genialność powieści Manna polega między innymi na tym, iż ukazuje ten zasadniczy konflikt w jego dialektycznym narastaniu. W pierwszej generacji konflikt jeszcze nie istnieje, w drugiej już się zarysowuje, w trzeciej uwidocznia się z całą jaskrawością.

Konflikt jednostki z otoczeniem, konflikt mieszczańska, który nie umie przystosować się do nowych warunków, do nowej moralności — zostaje wreszcie w czwartej generacji doprowadzony do ostatecznych granic — choć już na innej płaszczyźnie. Tomasz pojmując przed śmiercią, że jego istnienie od wieków firma skazana jest na zagładę i zleca w testamencie jej likwidację. Ale pozostał jeszcze jego syn Hanno, przedstawiciel czwartej i ostatniej generacji Buddenbrooków.

Losy tego subtelного i artystycznie uzdolnionego chłopca są w powieści Manna najbardziej radykalnym przykładem tragedii jednostki w ustroju kapitalistycznym. Tragedia tego czwartego pokolenia rozgrywa się już nie na płaszczyźnie życia handlowego — z tej płaszczyzny zostali Buddenbrookowie w okresie, w którym Niemcy zbliżają się do epoki imperializmu, wyparci przez Hagenströma, burżuja najczystszej krwi. Konflikt Hanno z rzeczywistością życiową w nowo utworzonej Rzeszy ukazany jest przez autora na tle jego przeżyć szkolnych.

Trzeba uświadomić sobie, iż szkoła w Niemczech cesarskich była nie tylko koncentratem wsteczności i ograniczenia, ale jednocześnie jednym z najistotniejszych ogniw duchowej władzy klasy panującej. Co więcej: życie szkolne stało się jakby bezpośrednim odbiciem — w zmniejszonych proporcjach — życia w ówczesnych Niemczech.

Do walki z nieubłaganim życiem, usymbolizowanym przez reakcyjną szkołę, Hanno, najmłodszy z Buddenbrooków, jest już całkowicie niezdolny. Musi skapitulować przed potęgą, wobec której jest bezzilny.

Niestety jednak wymowę krytyczną — społeczną ostatniej części „Buddenbrooków” osłabiają rysy patologicznej wręcz nadwrażliwości, w jakie wyposażył Mann małego Hanno. W ten sposób autor jakby uchylił się od wyciągnięcia ostatecznych wniosków z ukazanego kryzysu burżuazji.

Podstawowa problematyka „Buddenbrooków”, którą usiłowałam w powyższych wywodach choć pobieżnie nakreślić, bynajmniej nie wyczerpuje bogatej myśli społeczno-krytycznej tego arcydzieła. Nie ma w tej powieści właściwie ani jednego rozdziału, który nie byłby krytyką XIX-wiecznego mieszczaństwa. Czasem jest to krytyka ostra i zjadliwa, czasem — bodajże najczęściej — łagodna i dobrodusza. Zawsze jednak realizm „Buddenbrooków” ma charakter demaskatorski. Mimo wszelkich sympatii dla swoich bohaterów Mann z całą wyrazistością ukazuje typowe cechy mieszczaństwa: chciwość i zachłanność, snobizm i obłudę, zakłamanie i egoizm, ukazuje na przykładzie dużej liczby osób, z którymi się stopniowo zapoznajemy.

Postacie z „Buddenbrooków” pozostają w pamięci czytelnika przez długie lata, i to nie tylko postacie czołowe. Pamiętamy uroczą i naiwną Tony Buddenbrook, która z dwóch niefortunnych małżeństw nie umie żadnej nauki wyciągnąć, pamiętamy... lecz pamiętajmy lepiej, że „Buddenbrookowie” to dopiero pierwszy szczyt wielkiej realistycznej powieści niemieckiej w XX wieku, że jeszcze opowiedzieć chcemy o innych arcydziełach. Toteż przerwijmy nasze uwagi o tej kronice „upadku rodziny” — wszak o „Buddenbrookach” mówić można nieskończenie. Rzućmy okiem na dalsze losy postępowej literatury niemieckiej.

W tym celu będziemy musieli nadal pozostać w gronie rodzinnym — wprowadzić nie rodziny Buddenbrooków, lecz Mannów.

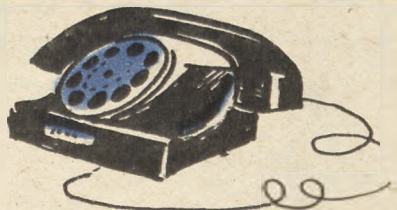
(Fragmenty książki „Z dzieł literatury niemieckiej — 1871—1954”, która ukaże się nakładem „Wiedzy Powszechnej”).

B.P.N.S.

czyli

SŁÓW PARĘ O MAGICZNEJ SKRZYŃCE

JÓZEF HEN



ZBYT mało okazujemy sobie życzliwości. Przydałoby się więcej uśmiechu, uprzejmości i tak. Jedno słówko rzucone w porę — ileż może sprawić radości tzw. bliźniemu. Jak go ono podniesie na duchu!

Cóż nam szkodzi, na przykład, podnieść słuchawkę telefonu i powiedzieć parę miłych słów komuś, o kim wiemy, że przeżywa przykre chwile?

Możemy nadać tej szlachetnej akcji formy zorganizowane. Do wielu, mniej lub więcej potrzebnych urzędów, dodalibyśmy B.P.N.S. — Biuro Podnoszenia Nastrojów Społeczeństwa. Sto urzędników o anielskim głosie dzwoniłoby co rano do różnych mieszkańców naszego miasta. Nie trudno wyobrazić sobie taką rozmowę:

— Obywatel Z.? Dzień dobry. — (Anielski głos). — Jak się spało? Ze zimno? Ale za to zdrowo! Pogoda jest cudowna. Niech pan śpieszy do biura. Słyszałam, że koledzy bardzo dobrze się o panu wyrażają. Nic dziwnego, człowiek z tak pogodnym usposobieniem...

Pięć minut rozmowy — i z ponurego nastroju człowiek wpada w nastrój po prostu rozkoszny. Założmy co rychlej BPNS! Znajdą się i etaty, i fundusze, i dziewczęta obdarzone miłymi głosami. Cóż więc właściwie stoi na przeszkodzie?

Już wiem co. Brak telefonów.

No, ale żarty na bok — pomówmy poważnie.

Przyznaję, że telefon to skomplikowany wynalazek. To nie jest taka prosta rzecz: potrzebna jest słuchawka,

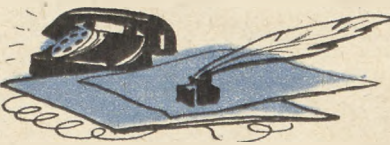


drut, centrala. W porównaniu z telefonem — tak nas przynajmniej zapewnia Urząd Telefonów Miejskowych — budowa Nowej Huty, cementowni w Wierzbicy czy fabryki samochodów na Żeraniu, to fraszki niewarte wzmianki. Telefon — to czarodziejska skrzynka, czarna magia, stos atomowy, „Sesamie, otwórz się”, obłok Magellana i w ogóle powieść fantastyczna Lema. Coś nieosiągalnego, czym jednak władają — wprowadzić dość nieudolnie — wszechpotężni magowie z UTM.

Mieszkamy w mieście, które liczyć sobie będzie wkrótce milion mieszkańców. Życie nasze nie jest łatwe. Komuś się może wydawać, że wszystko tu się robi samo, ale my wiemy, ile każdy nowy dom kosztuje

wyrzeczeń. Jeśli można uczynić coś, co nam pomoże żyć i pracować, to nie wolno tego zaniedbać. Nie wolno zaniedbać niczego, co nam oszczędzi trochę czasu, z którego nieraz tak nas nielitościwie okradają.

Trudno sobie wyobrazić normalne życie milionowego miasta bez szeroko rozgałęzionej sieci telefonicznej. Jest to kubek w kubek taki sam „luk-



sus” jak autobus czy tramwaj. Narzekamy często na komunikację miejską. Ależ niesposób ją odciążyć, skoro dla załatwienia najprostszej sprawy, dla zakomunikowania każdziutkiej wiadomości, wsiadamy do autobusu i mknijemy z Mokotowa na Wólę, ze Śródmieścia na Saską Kępę, z Żoliborza na Ochotę! I właściwie Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne powinno zmusić dyrekcję UTM do szybkiej „telefonizacji” miasta.

Kiedy o tym mówiłem w UTM, dano mi do zrozumienia:

- a) powiedz pan to samo w PKPG,
- b) Prus nie miał telefonu i pisał lepsze książki niż pan,
- c) literatura to nie jest zawód i kto wie, czy w ogóle książki są na coś potrzebne.

To ostatnio zostawiłam demonstracyjnie bez komentarzy. Co do Prusa — to fakt. Faktem jest również, że za czasów Prusa Warszawa kończyła się na Placu Unii Lubelskiej. Co do dobrych książek, to Dante pisał jeszcze lepsze niż Prus i to w okresie, kiedy nieznany był jeszcze wynalazek druku. Czy znaczy to, że powinniśmy zlikwidować nasze drukarnie?

Ale dość użerania się. Najistotniejszy argument, to ten o PKPG. Doprawdy nie sądzę, żebyśmy my, mieszkańcy, byli od tego, by wyjaśniać urzędnikom PKPG (z których każdy zapewne ma w domu telefon) znaczenie sieci telefonicznej. To dyrekcja telefonów powinna walczyć o swój budżet! Obawiam się jednak, że czyni to niezbyt skwapliwie, może wychodząc z założenia, że „mniejszy kram — mniej kłopotów”.

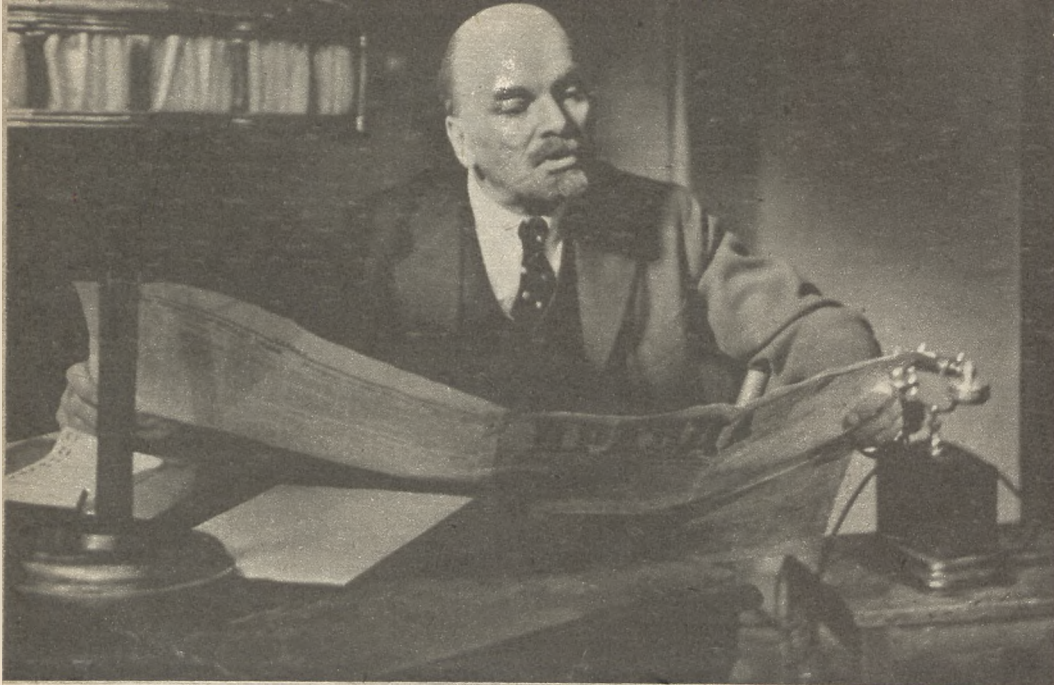
Budowa mieszkań kosztuje nieporównanie więcej niż założenie telefonu, a jednak przyjęto słusznie zasadę, że nie będzie mieszkań bez łazienki! Czemu nie rozciągnąć tej zasady na telefony? Chciałbym tu zaznaczyć, że, moim skromnym zdaniem, telefony powinny być przedsiębiorstwem rentownym, a więc nie ma mowy o obciążaniu budżetu.

Dlaczego o tej tak ważnej sprawie tak mało się u nas pisze? Wybaczcie, Redaktorze, ale wydaje mi się, że ci, którzy mogliby w tej sprawie zabrać głos... po prostu mają telefon. Tak już jest, że pamiętamy przede wszystkim o tym, co nas bezpośrednio boli. Weźmy Jerzego Putramenta, który na łamach „Przeglądu Kulturalnego” toczy dzielne boje z rozmaitymi przejawami tępoty. Huczy mu nad głową studencki głośnik — napisał o pladze głośników. Zabroniono mu na wczasach grać w brydża — napisał o brydżu. Potknął się o warszawskie wyboje — napisał o wybojach. O telefonie nie napisał — bo go (niestety) ma. Ja nie mam, więc piszę.

A więc jeszcze o tym czarodziejskim wynalazku. Dwa lata temu dyrekcja UTM zapowiadała głośno przełom: nową centralę. Centrala jest — przełomu nie ma. Książka telefoniczna jest nadal żenująco cienka i figuruje w niej mniej nazwisk niż w „Jaworowym Domu” Wilhelma Macha, bardzo zresztą dobrej powieści. Dyrekcja wysuwa coraz to nowe trudności. Raz mówi, że nie ma kabla. To znów brak aparatów. To znów nie ma odpowiedniej centrali. Trzeba ją rzekomo sprowadzić z zagranicy. A może to wszystko przesada? Może brak po prostu ocłupinki tzw. „troški o człowieka”? Wierzę w zdolności naszych inżynierów i studentów! O „fotokomórce” sportowej także rozprawiano jako o ósmym cudzie świata. Niedawno skonstruowali ją, z dobrym wynikiem, studenci Politechniki Wrocławskiej. Telekino skonstruował młody inżynier, absolwent Politechniki Warszawskiej. Tylko ten biedny telefon nie może doczekać się realizacji, chociaż budowa „mózgu telefonicznego” mogłaby być znakomitą pracą dyplomową dla studentów Politechniki.

Za dwa lata — w r. 1956 — będziemy obchodzili takie dziwne święto, taki śmieszny jubileusz: osiemdziesięciolecie skonstruowania przez Belę pierwszego telefonu. Skądinąd wiadomo, że mamy słabość do dat i jubileuszków. Może więc i ta data stanie się obowiązująca? Może do dnia tego jubileuszu Urząd Telefonów Miejskowych rozwiąże nareszcie sprawę sieci telefonicznej w Warszawie, zrozumiaławej, że obsługuje nie Grajdołek, lecz stolicę państwa? Przydałoby się maleńkie zobowiązanie. Odezwiłcie się, kapłani czarodziejskiej skrzynki!





JACEK WOSZCZEROWICZ JAKO LENIN W „CZŁOWIEKU Z KARABINEM”

DWIE KREACJE AKTORSKIE

AUGUST GRODZICKI



JAN KURNAKOWICZ W TYTUŁOWEJ ROLI W SZTUCE POGODINA

Z GŁĘBI mrocznego korytarza szybkim, drobnym krokiem wysuwa się na przód sceny człowiek niedużego wzrostu w czarnym ubraniu, zaafierowany jakąś myślą, z twarzą o rudawym zaroście, pełną skupienia i troski. Podchodzi do niego prosty żołnierz z karabinem na ramieniu, a z czajnikiem w ręku i pyta, gdzieby tu można dostać herbaty. Wywiązuje się krótka rozmowa. Człowiek w czarnym ubraniu pyta o front, z którego żołnierz przybył, o nastrój wśród wojska. Rozmowa jest zwykłą, serdeczną, prowadzona z humorem i równocześnie z głęboką wewnętrzną powagą, dotyka bowiem spraw ważnych. Żołnierz mówi, że ludzie mają dosyć wojny — on także. Karabinu mimo wszystko nie można wypuszczać z ręki, bo jest on potrzebny dla innych, lepszych niż dotychczas celów. Nieznany człowiek odchodzi. Żołnierz pozostaje — poruszony rozmową, zastanawia się. — Kto to taki? — pyta przechodzącego marynarza. — To Lenin — pada odpowiedź.

Jest to centralna scena w sztuce Mikołaja Pogodina (w programie nie wiadomo dlaczego nazwanego Mikołajem) „Człowiek z karabinem”, wystawionej przez warszawski Teatr Narodowy. Tym „człowiekiem z karabinem”, który w petersburskim Instytucie Smolnym spotyka Lenina, jest szeregowiec Szadrin. Jego ankieta personalna: chłop ledwo umiejący czytać, żonaty, troje dzieci, ma nędzny kawałek ziemi, jednego konia, krowa padła. Jeden z milionów chłopów rosyjskich w okresie Wielkiej Rewolucji Październikowej.

Widzimy go w okopach frontowych zmęczonego wojną, kiedy wybiera się na urlop. Potem zjawia się w Petersburgu. Tu spotyka żonę i siostrę, tu zostaje wciągnięty w wir rewolucji. Właśnie ukazują się pierwsze dekrety, następuje rozdział ziemi obszarnej, władza rewolucyjna zaczyna się dopiero tworzyć. Toczy się jeszcze walka zbrojna z kiereńszczyzną. I Szadrin, uniesiony biegiem wypadków, postawiony na czele kompanii wojska, rośnie wewnętrznie, staje się pełnym człowiekiem, współuczestnikiem i współtwórcą nowej rzeczywistości.

Jest to postać świetnie narysowana przez autora i równie świetnie zagrana przez Jana Kurnakowicza. Wydobywa on cały jej ciepły humor, śmieszny i wzrusza. Stwarza typ prawdziwie ludowy, który wyraża drogę rozwojową ludu rosyjskiego w dniach rewolucji. Prosty rozsądek Szadrina, jego jasna i trafna ocena sytuacji — wyczuła niejako instyktownie — to także cechy ludu. Od tego ludu uczyli się wielcy przywódcy rewolucji. Uczył się od niego największy z nich — Lenin, o którym nawet niektórzy jego wrogowie mówili — jak to cytuje Gorki — że „ze wszystkich współczesnych mu ludzi był najbardziej plastycznym uosobieniem genialności”.

W sztuce Pogodina patrzymy na niego w kilku odsłonach i w kilku dramatycznych sytuacjach. Gra go Jacek Woszczerowicz przekazując obraz taki, jaki pamiętamy z wielu świadectw współczesnych. Ogromna siła wewnętrzna i genialność w połączeniu z prostotą i serdecznością, wcielenie historii i

pięknego człowieczeństwa — te cechy umie Woszczerowicz pokazać przy zachowaniu bardzo wiernego wizerunku zewnętrznego, charakterystycznych ruchów, sposobu bycia, gestykulacji. Widzimy Lenina wydającego decyzje, od których zależą dalsze koleje rewolucji. Widzimy go w chwilach, gdy opanowuje go czysto ludzki, tłumiony strach, kiedy niebezpieczeństwo grozi nie jemu, ale dziełu, które z młodzieńczym zapałem buduje. Widzimy go mówiącego do ludzi słowami, od których robi się im ciepło na duszy. Widzimy, jak przyjacielską troską otacza współtowarzyszy walki. Widzimy, jak śmieje się serdecznie, żywiołowo, z całego serca.

O nim bowiem pisał Gorki: „Nigdy nie spotkałem człowieka, który by umiał śmiać się tak zaraźliwie jak śmiał się Włodzimierz Iljicz. Było to nawet dziwne, że tak surowy realista, człowiek, który tak dobrze widzi i głęboko czuje nieuchronność wielkich społecznych tragedii, nieprzejednany i niezachwiany w swojej nienawiści do świata kapitalizmu, może śmiać się całkiem jak dziecko, do łez, zanosić się od śmiechu. Wielkie krzepkie zdrowie psychiczne mieć trzeba, żeby móc się tak śmiać”. I dalej cytuje słowa Lenina: „Humor to wspaniała, zdrowa cecha. Doskonale wyznają się na humorze, ale nie władam tą sztuką. A rzeczy śmiesznych jest w życiu bodaj że nie mniej niż ponurych, doprawdy, nie mniej”. Oprócz wielu innych, genialnych myśli Lenina, dotyczących ważniejszych spraw, i tę warto dobrze pamiętać i na wszelki wypadek nieraz ją przypominać.

W przedstawieniu Teatru Narodowego Lenina gra także Ignacy Machowski, stwarzając postać sceniczną nieco odmienną, bardziej rozdrobnioną w szczegółach, mniej sugestywnie działającą wewnętrzną wielkością, ale bardzo ludzką i również aktorsko udaną.

Lenin i Szadrin dominują nad całym przedstawieniem. Reżyseria Bohdana Korzeniewskiego (dekoracje i kostiumy Władysława Daszewskiego) wysunęła te dwie postacie na pierwszy plan z usunięciem w cień wszystkiego innego. A że postacie te znalazły znakomitych odtwórców tym bardziej błędnie tło, na którym one występują.

„Człowiek z karabinem” ma kształt sceniczny podobny do innych dzieł radzieckiej klasyki rewolucyjnej, z których wiele oglądaliśmy na różnych scenach polskich: „Lubow Jarowaja”, „Pociąg Pancerny”, „Sztorm”, „Przełom”. Migawkowość scen jest tu jeszcze większa, bowiem sztuka powstała z zamierzonego najpierw scenariusza filmowego. Tym bardziej trzeba ją przepoić jednym nastrojem i wydobyć całą romantykę treści i formy. Przedstawienie w Teatrze Narodowym nie zdołało tego zrobić. Było — poza wspomnianymi wyżej dwiema postaciami — szare, bez polotu, zbyt kameralne. O grze aktorów — poza nielicznymi wyjątkami — można powiedzieć, że była poprawna, ale w całości nie wywoływało to wzruszenia takiego, jakiego byśmy w teatrze od tego rodzaju sztuki oczekiwali. Przeważała w tym ilustracyjność, a nie oddanie wewnętrznej prawdy ludzkiej i historycznej.

PRZED WYBORAMI

„Książka i Wiedza” wydała niedawno cztery broszury, związane tematycznie z wyborami do rad narodowych.

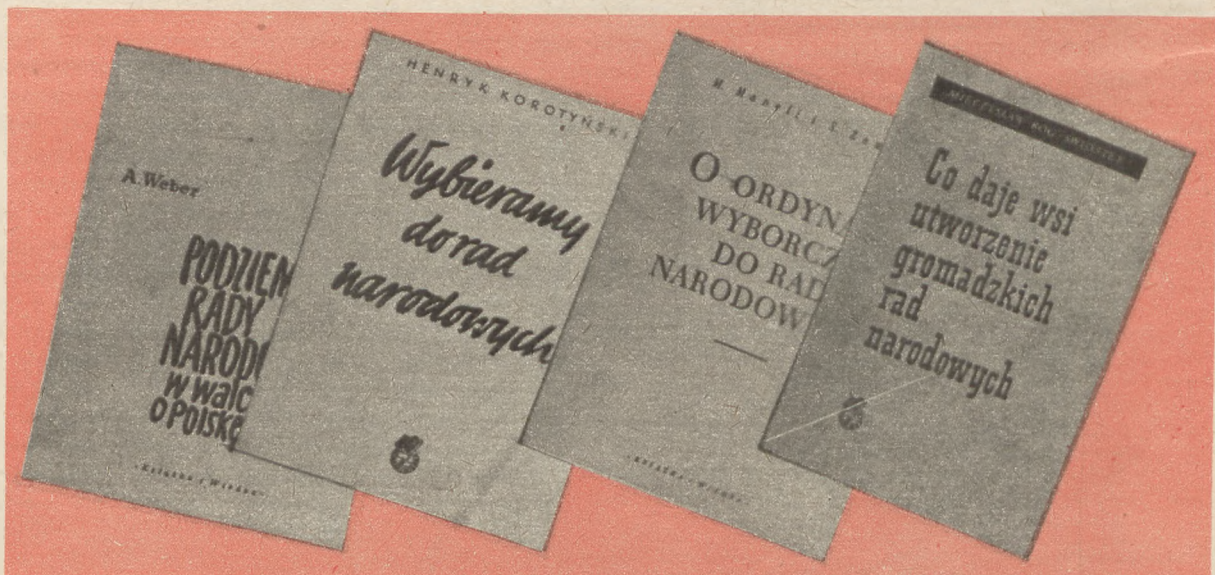
A. Weber: „Podziemne rady narodowe w walce o Polskę Ludową” (77 str., cena 2 zł.). Praca ta przypomina dzieje powstania Krajowej Rady Narodowej i terenowych rad narodowych jeszcze przed wyzwoleniem oraz ich ścisły związek z walką naszego narodu przeciw hitlerowskiemu okupantowi.

Henryk Korotyński: „Wybieramy do rad narodowych” (64 str. cena 95 gr.). Jest to opracowanie, w którym znaczenie wyborów do rad narodowych przedstawione jest w sposób bardzo przystępny na tle naszych dotychczasowych osiągnięć politycznych i gospodarczych.

M. Manell i S. Zawadzki: „O ordynacji wyborczej do rad narodowych” (64 str. cena 1 zł.). Pierwszą część broszury stanowi szczegółowe wyjaśnienie demokratycznego charakteru naszej ordynacji wyborczej, drugą zaś — sam tekst ustawy o ordynacji wyborczej z dnia 5 września br.

Mieczysław Róg-Swiostek: „Co daje wsi utworzenie gromadzkich rad narodowych” (80 str. cena 90 gr.). Broszura ta, przeznaczona głównie dla czytelnika wiejskiego, w łatwy i poglądowy sposób określa rolę rad narodowych w życiu i w przeobrażeniach naszej wsi, wyjaśnia znaczenie reformy podziału administracyjnego oraz stworzenia gromadzkich rad narodowych.

Wszystkie te wydawnictwa są już do nabycia w księgarniach „Domu Książki” i kioskach „Ruchu”.



FOTO

KORRESPONDENCI DONOSZA

MUSIMY WYBRAĆ DOBRYCH GOSPODARZY

Dzielnicowa Rada Narodowa naszego najmłodszego miasteczka — Nowej Huty — może poszczycić się wcale niemałym dorobkiem.

Dobrym wyrazem operatywności tej czteroletniej załedwie

Rady jest zaopatrzenie ludności we wszystkie artykuły spożywcze i przemysłowe. Ponad 67 tys. mieszkańców Nowej Huty obsługiwanych jest przez 55 sklepów z artykułami spożywczymi, 2 kioski, 36 sklepów z

Pamiętacie zapewne dobrze, Czytelnicy, reportaż Mariana Brandysa „W Pińczowie dnie...”, drukowany na kolumnach „Świata” w odcinkach. Przeczytajcie więc także list inż. arch. Tadeusza Gawłowskiego, który, choć skierowany do autora, na pewno Was zainteresuje.

Panie Redaktorze, Jestem projektantem hal obrobki kamienia w Pińczowie. Z

dużą przyjemnością przeczytałem pańską przychylną ocenę architektury, jak również cały interesujący reportaż o Pińczowie. Problematykę tego dziwnego miasta, pod względem architektonicznym, rozważałem w sposób niemal identyczny.

Opublikowanie tej problematyki w Pańskim reportażu jest świetnym uzasadnieniem przyjętej koncepcji architektonicznej. Sam nigdy nie mogłem tego zrobić równie dobrze. W licznych gorących dyskusjach na ten temat zawsze były jakieś niedopowiedzenia z mojej strony. Pański reportaż załatwia to znakomicie. Dla podkreślenia mego uznania i przyjaźni pozwalam sobie przysłać fotografię z realizacji hali.

Z poważaniem

T. Gawłowski



MUZEA, KTÓRE WARTO POZNAĆ

W grudniu 1951 r. powstało w Gorzowie Wielkopolskim pierwsze w Polsce Muzeum Światopoglądowe, zwane również Podstawowym. Projekt urządzenia tego rodzaju muzeum — nie znanego dotychczas w Polsce, a nastawionego na szeroką popularyzację zabytków sztuki danego regionu — wysunął w r. 1950.

na konferencji naukowej w Nieborowie, prof. Z. Kepiński. Muzeum Światopoglądowe spełnia ważną funkcję wychowawczą, poszerzając zakres wiadomości przyrodniczych z dziedziny zrodniczej, historycznej i artystycznej regionu. Muzeum gorzowskie mieści się w pięknym pałacyku i

cieszy się dużą frekwencją publiczności, szczególnie młodzieży szkolnej i robotników. Z. Łukasiewicz, Gorzów Wlkp.

Drugie w Polsce Muzeum Światopoglądowe posiada Radom. W przeciwieństwie do muzeum gorzowskiego, radomskie nie rozwinęło dotychczasowej działalności. Mimo że istnieje już od marca br., przeciętna liczba zwiedzających nie przekracza 1000 osób miesięcznie. A szkoda, mogłoby ono bowiem przynieść poważną pomoc w nauce, szczególnie młodzieży szkolnej.

Zmianę istniejącego stanu przyniesie może wystawa pt. „Dzieje Radomia”, organizowana przez wspomniane muzeum z okazji 800-lecia Radomia. W odnowionych salach muzeum zgromadzone już wiele materiału historycznego, który zaciekawi mieszkańców Radomia.

A. Majewska, Radom



Fragment wystawy w muzeum radomskim.



Restauracja „Gigant” w osiedlu A-1

Fr. Walczak, Kraków

ODWIEDZIŁ NAS KREUZCHOR

Już zapowiedź przybycia „drezdeńskich słowików” wywołała zrozumiałe zainteresowanie mieszkańców grodu Przemysław, który, jak wiadomo, jest siedzibą Jedynej w Polsce chóru męskiego i chóru dzieci przy Państwowej Filharmonii. Koncerty drezdeńskiego Kreuzchoru w Poznaniu tak w Operze im. Stanisława Moniuszki jak i w auli Uniwersytetu cieszyły się ogromną frekwencją i szczerym uznaniem publiczności. Utwory Bacha, Ry-

szarda Wagnera, Orlanda di Lasso — klasyków muzyki, oklaskiwane były długo i gorąco, a kompozycja Jana Maklakiewicza „Traktorzysta i dziewczyna” — wykonana po polsku — wywołała entuzjazm.

Drezdeńscy goście złożyli także wizytę swym kolegom „słowikom Stulgrosza”, o pracy których dyrygent Kreuzchoru prof. Rudolf Mauersberger wyraża się z wielkim uznaniem.

Spotkanie obydwu znakomitych zespołów przerodziło się w przyjacielską pogawędkę i wzajemne popisy.

K. Gawlak, Poznań
fot. H. Ignor



Napisz do mnie do Drezna. Oto mój adres...

W LUBLINIE...

Z okazji Miesiąca Poglębień Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, w Klubie TPPR w Lublinie, odbył się wieczór poświęcony twórczości pisarzy rosyjskich i radzieckich. Po ciekawej prelekcji Zofii Matyaszkowskiej o wybitnych pisarzach i bohaterach ich powieści — na scenie klubu odbyła się premiera dramatu Puszki „Mozart i Salieri” w wykonaniu artystów Państwowego Teatru im. Osterwy.

Dramat Puszki będzie kilkakrotnie powtórzony dla młodzieży akademickiej i szkolnej, także bowiem zobowiązanie podjęli aktorzy.

W. Marek, Lublin



„Mozart i Salieri”

POŁOSKI WYBIÓRĄ SWOJĄ RADĘ

Gromada Połoski — duża, półtoraj setki gospodarstw licząca wieś w gminie Piszczac (pow. Biała Podlaska), istnieje już, jak głosią stare kroniki, od kilkuset lat. Minione wieki nie przyniosły jednak Połoskom nawet połowy takich zmian, jakie zaszły w nich w ciągu 10 lat Polski Ludowej. Aby nie być gołosłownym przytoczymy niektóre tylko osiągnięcia jednej z wielu, typowej podlaskiej wsi:

ELEKTRYFIKACJA. Przed wojną mieszkańcy Połosek spędzali długie, zimowe wieczory przy kopcach lamp naftowych. Dziś elektryczność oświetla nie tylko wszystkie mieszkania i ulicę wiejską, ale także wycieca poloszczan w pracy. Radiodiodiorniki zaś stały się sprzętem powszechnego użytku.

CSWIATA. Przed wojną w Połoskach była jedynie 5-klasowa szkoła tzw. II stopnia, prowadzona przez dwóch nauczycieli. Te dzieci, które chciały i mogły ukończyć 7 oddziałów, musieli chodzić do odległego o 6 km Piszczaca. 7 oddziałów szkoły podstawowej było zresztą szczytem edukacji osiągniętej tylko przez nielicznych mieszkańców Połosek. A nikt w tej wsi nie ukończył przed wojną szkoły średniej.

Dziś Połoski mają 7-klasową szkołę podstawową, w której uczy czterech nauczycieli. Szkoła wyposażona jest we wszystkie potrzebne pomoce naukowe, aparat do wyświetlania przezroczy i radio. Rokrocznie co najmniej 50% absolwentów poloskiej szkoły idzie do szkół średnich i zawodowych. Połoski mają już dziś „swoich” inżynierów, nauczycieli, księgo-

wych, kierowników wojewódzkich Wydziałów Kultury.

W Połoskach nie ma już także aniabelotów, a obecny kierownik szkoły, Samociuk, i jego żona, również nauczycielka, przystanili do zorganizowania 7-klasowej szkoły dla dorosłych.

CZYTELNICTWO. We wsi jest punkt biblioteczny cieszący się dużą frekwencją, a prawie każda rodzina prenumeruje gazety i czasopisma.

GOSPODARKA. Dawne, trudne do przebycia mokradła w sąsiedztwie Połosek, zwane „łakami”, dawały rocznie najwyższy wóz (5 q) bardzo lichego siana. Dziś owe mokradła zmeliorowane, uprawione i obsiane dają po 50 q wyborowosian z hektara, z jednego tylko pokosu, a piękne te łaki kosztują obecnie dwa, a nawet trzy razy do roku. Nie też dziwnego, że przy tak przygotowanej bazie paszowej pogłowie bydła wzrosło w Połoskach dwukrotnie, tak zresztą jak i pogłowie trzody chlewnej.

Dzięki upowszechnieniu wiedzy rolniczej, stosowaniu lepszych metod upraw, zakładaniu stów kompostowych i stosowaniu nawozów sztucznych, które znano tu przed wojną jedynie ze słyszenia, wydajność z hektara wzrosła o 30 procent.

Powstałe w sąsiedztwie gromady PGR-Poloski stwarza dodatkowe źródło dochodów dla mieszkańców wsi i okolic oraz uczy racjonalnej, opartej na naukowych podstawach gospodarki i hodowli.

Mieszkańcy Połosek zdają sobie doskonale sprawę, iż osiągnięcia swoje zawdzięczają

władzy ludowej, która umożliwiła im rozwój gospodarczy i kulturalny, i dumni są, iż wkrótce już niejedną z mieszkańców ich gromady będzie przedstawicielem władzy. Za kilka tygodni bowiem Połoski będą wybierać radnych do własnej Gromadzkiej Rady Narodowej.

Dnia 25 października w pięknie wyremontowanym budynku przeznaczonym na siedzibę Rady Gromadzkiej odbyło się pierwsze wspólne posiedzenie członków Obwodowej Komisji Wyborczej Nr 24 i członków Gromadzkiego Komitetu Frontu Narodowego. Omówiono na nim program wyborczy jak również szczegóły prac związanych z wyborami.

Program wyborczy jest zapo-

wiedzą dalszych sukcesów nie tylko dla Połosek, ale i dla tych wiosek, które wejdą w skład Rady Gromadzkiej, a dawniej uważane były za „dziury, zabite od świata deskami”.

Jeden z punktów programu wyborczego przewiduje założenie we wsi Urzędu Pocztowego i telefonu, remont drogi oraz uruchomienie świetlicy gromadzkiej.

Nie kandydatów, na których oddadzą swe głosy mieszkańcy Połosek i okolic, wierzymy jednak, że będą to ludzie, którzy nie zawiodą zaufania swych wyborców, będą dążyli do dalszego rozkwitu swej gromady, dobrobytu jej mieszkańców.

F. Praszczak, Piszczac



Zebrańie przedwyborcze

FOTOGRAFIA NA CODZIEN

CZYTELNICY PISZĄ...

„...Jestem stałym czytelnikiem Waszego poczytnego pisma, a w szczególności kącika „Fotografia na codzień”, ponieważ sam jestem zafascynowany fotoamatorstwem. Muszę Wam wyrazić swe uznanie za redagowanie tego działu — pisze J. Kochowski z Sochaczewa. — Korzystając z opisów zamieszczonych w dziale „Fotografia na codzień”, nauczyłem się dobrze „opracowywać” negatywy, robić odbitki syntetyczne, a obecnie wykonałem powiększalnik, który pracuje dobrze ku memu wielkiemu zadowoleniu, gdyż do tej pory o własnoręcznym powiększaniu swoich zdjęć mogłem tylko marzyć”.

— Cieszy nas ten list Czytelnika. Równie ucieszyłoby nas słowa krytyki i nowe żądania, których już przecież mieliśmy wiele i które staraliśmy się uwzględnić w miarę naszych możliwości. A wiadomo przecież, jak trudno trafić każdemu do gustu, zaspokoić szeroką skalę zainteresowań, uwzględnić różnice poziomu technicznego poszczególnych fotoamatorów.

Już ukazało się ponad 100 odcinków „Fotografii na codzień”, już tyle przeróżnych zagadnień omówiono, a jeszcze tyle zostało do napisania, tyle jeszcze zrodzi się nowych problemów. I co przede wszystkim uwzględnić? Jak wszystkim dogodzić? — stąd też w naszym dziale taka „skakanina” z tematu na temat, z działu na dział, z chemii do optyki, z techniki do kompozycji czy historii fotografii — byle „dla każdego coś miłego”... I w tej naszej rozterce tematycznej, w układaniu planów tematycznych, cenna jest każda wypowiedź naszych Czytelników.

„...W imieniu swoim i kolegów, także fotoamatorów z Sochaczewa — kończy swój list J. Kochowski — dziękuję Redakcji za dotychczasowe bardzo dobre prowadzenie działu „Fotografia na codzień”.

I my dziękujemy za list, a na zawarte w nim pytanie wyjaśniamy, że zaszło tu małe nieporozumienie: na łamach naszego pisma (Świat Nr 31/152 z dn. I.VII.1954) przytoczyliśmy fragment listu K. Kulickiego o budowie światłociemniarki optycznej, nie zaś odległościomierza, którego skonstruowanie domowym sposobem jest zbyt trudne technicznie. Odległościomierz wyrobu f-my Leitz i Zeiss można nabyć tylko okazjnie w sklepach komisowych.

St. Zareba, wieś Włotkice, p-ta Charsznica. — Aparaty „Start I” krajowej produkcji miały ukazać się w sprzedaży już latem tego roku. Dotychczas jednak nie wypuszczono ich na rynek i czekamy na ich ukazanie się nie znając dokładnego terminu. Cena lustrzanki nie jest ustalona, wahać się będzie od 600 do 800 złotych. — Na ogół tego typu aparat nie nadaje się do stosowania przy powiększeniach, chyba przy specjalnego typu przystawkach. Najwygodniejsze do tego celu są kamery z mieszkaniem skózanym.

K. Zabczyński, Ostróda — Pisaliśmy poprzednio o aparacie „Praktina”, o jego szerokich możliwościach technicznych, jak „10 zdjęć jednym tchem” lub „transport filmu za pomocą sprężyny”. Do tego jednak służą specjalne dodatkowe urządzenia techniczne, których do nas jeszcze nie sprowadzono. Tarcza w katalogu jako „Filmerscheibe” służy do oznaczania czułości filmu założonego do aparatu. Oznaczenie na tej tarczy: „T-Color” i „K-Color” — dla filmów barwnych. Tarczę po założeniu filmu należy nastawić przez podkreślenie na właściwą cyfrę oznaczającą czułość emulsji w stopniach DIN. — Nastawianie na ostrość przy pomocy łączenia się dwóch części obrazu występuje tylko w celowniku pryzmatycznym, który stanowi dodatkowe wyposażenie aparatu.

PRZEGLĄD FILMÓW POLSKICH 1954

CO ROKU na jesieni odbywa się u nas Przegląd Filmów Polskich. Do niedawna jeszcze były jednak te przeglądy prawie wyłącznie przypomnieniem pozycji już znanych, przy nikłym jedynie akompaniamencie nowych filmów polskich. Tegoroczny przegląd, przypominając, zgodnie z tradycją, filmy już znane, opiera się jednak głównie na pozycjach nowych stając się w ten sposób przede wszystkim prezentacją najświeższych naszych dokonań filmowych. Gdyby istniał jakiś termometr do mierzenia wartości dzieł sztuki i gdyby przyłożyć ten termometr do nowych filmów polskich, wyznaczyłyby one prawie całą podziałkę, od zera, a nawet poniżej zera, aż po wysoką temperaturę wrzenia. Niewątpliwie na dolnych punktach znalazłyby się dwa filmy — „Niedaleko od Warszawy” — prawie przy samej kresce oddzielającej minusy od plusów, albo i poniżej, a nieco, ale niewiele wyżej, „Pościg”, o tyle lepszy od poprzedniego, że wleceć się na nim rusza i dzieje, i że występują w tym filmie ładne konie, podczas gdy w „Niedaleko od Warszawy” jedynie zupełnie przeciętne ryby. Ludzi brak w obu obrazach.

Wyżej, na pewno powyżej zera, plasują się dwa następne filmy „Autobus odchodzi 6.20” i „Uczta Baltazara”. Między tymi dwoma filmami toczy się rywalizacja o miejsce w tabeli, na trasie wyścigu raz jeden, raz drugi wysuwa się naprzód, gdyby był to jednak wyścig biegaczy, sędziowie nie doszliby do porozumienia w sprawie przyznania wygranej. Na naszym termometrze nieco wyżej plasuje się „Uczta Baltazara” ze względu na lepszą formę filmową oraz na brak tych błędów, które cechują „Autobus”, a mianowicie — pewnej monotonii akcji. „Uczta Baltazara” posiada niewątpliwie własne błędy, a przede wszystkim mało zwartą budowę dramaturgiczną, na naszym jednak termometrze zaobserwowaliśmy w związku z tym filmem dość ciekawe zjawisko: otóż umieścił się on akurat w tym miejscu, gdzie znajduje się czerwona kreska, w górę od której zaczyna się stan podgorączkowy. Znaczący — mówiąc po prostu — jest to przeciętny film polski, taki, na jaki nas stać bez szczególnego wysiłku, ale też i bez zbytnej ambicji, film, który jest na przeciętnym poziomie, ani niżej, ani wyżej. Tak wskazuje nasz termometr.

Dużo powyżej czerwonej kreski znajdują się całkiem wyraźnie dwa filmy tegorocznego przeglądu: „Pod gwiazdą frygijską” i „Gwiazdy muszą płonąć”. Być może dążenie do gwiazd, zaznaczone w obu tytułach, pozwoliło obu filmom wznieść się tak wysoko. Fakt jest jednak faktem, że „Pod gwiazdą frygijską” oznacza jedno ze szczytowych osiągnięć naszej kinematografii, natomiast „Gwiazdy muszą płonąć”, będąc doskonałym filmem ma na dodatek i tę cechę, że znamionuje wysoką gorączkę twórczych poszukiwań, nowatorstwa, twórczego niepokoju, bez którego nigdy nie można się wznieść ponad ową czerwoną kreskę na termometrze.

„Świat filmu”, nie będąc w stanie omówić wszystkich filmów tegorocznego przeglądu, postanowił przy pomocy recenzji przedstawić Czytelnikom dolny i górny punkt termometru. Przy tym, aby nie zamarznąć na nizinach „Niedaleko od Warszawy”, zdecydowaliśmy się w stosunku do tego filmu na rozgrzewkową nieco formę humoreski.

KTT

Podróże kształcą. Wierny temu odwiecznemu sloganowi odbywam stale wycieczki do miejsc wyznaczonych afiszami i prospektami. Jestem jednocześnie człowiekiem subordynowanym i jako taki spełniam wszystkie zalecenia i apele, które wiszą na murach i w tramwajach oraz uwidocznione są w formie plastycznej na zaparkach. Ale jestem jednocześnie człowiekiem skromnym i wybieram tylko te rzeczy, które, jak uważam, są dla mnie dostępne. Stąd wiele niespodzianek i nieporozumień.

Wybrałem się więc na wycieczkę „Niedaleko od Warszawy”. Nie odstraszyły słabą frekwencją wszedłem na salę. Światło zgasło i rozpoczęła się podróż. Jak powiedziałem, jestem człowiekiem skromnym. Toteż już po kilku minutach uświadomiłem sobie, że podróż ta nie jest dla mnie. Była to bowiem podróż w inny świat. Pułkownik bezpieczeństwa okazał się chiromantą wróżącym przyszłość z ręki dziewczyny, która, nie przechodząc żadnego kursu przeciwpożarowego, gasi rozniecony ręką wroga ogień w ciągu kilku zaledwie minut, nie brudząc sobie przy tym rąk. To samo dziewczę, miotane falami sprzecznych uczuć, pozwala się pocałować chłopcu, którego już kocha, ale którego jeszcze nie zna, co zresztą mówi mu śmiało, prosto w zamglone miłością oczy. A wokół tego wszystkiego chodzi nie zginając kolan wróg w wysokich butach. Chodzi, łapie ryby i wiadomości, rzuca, przewidując, kamienie do studni. Inny, daleki i dziwny świat.

W kinie panowała cisza jak gdyby autor wyciągnął z ekranu rękę władczym gestem poraził wszystkich piorunem schematyzmu. Tylko ryby machały wesoło ogonami, nie sobie nie robiąc z tego, że złapane zostały na wędkę wroga i że odtąd służyć już będą zbrodniczym celom imperializmu. Biedne nieświadomione ryby.

Z tyłu za sobą słyszałem cichy szmer, jakby wiele ust powtarzało słowa mędlitwy za jednym, prowadzącym. To sześciu siedzących za mną mężczyzn składało przysięgę: „Przysięgam — mówił pierwszy — przysięgam — powtarzało za nim pięciu nieznanych mi osobników — że nigdy już nie będziemy — w oczach czterech z nich zabłysły szczere łzy — łowić ryb” — dokończył grobowym głosem pierwszy. Szept powtarzających przeszedł w łkanie.

Uczulem przejmujące zimno w kręgosłupie. Oto — pomyślałem sobie w trakcie kiedy dwoje zako-

STRZEŻ SIĘ RYBAKÓW



Rys. Lech Zahorski

A tymczasem podróż trwała dalej. Chytry wróg łapał coraz większe ryby. W dziewczynie dojrzewało powoli przekonanie. Inżynier nie żył. W hucie szła walka o „nowe”. Z tyłu za mną łkanie przeszło w szloch. Siedzący w trzecim rzędzie jasnowidz poruszył się niespokojnie. Wpiłem oczy w ekran. Drogą, w tłumie wychodzących ze zmiany robotników, w ślad za wrogiem w cholewach szło dwóch mężczyzn z rękami w kieszeniach. Jakież ciężkie westchnienie ulgi rozległo się za moimi plecami. To na ekranie sekretarz Partii, wobec wszystkich zebranych oświadczył, że będzie łapał ryby. „Znaczący, że można?” — rozległ się szept za moimi plecami — „Tak, można”.

Fatalna robota, pomyślałem. Przekonali wroga co do słuszności jego metod.

Zapaliło się światło. Wstając spojrzałem na sześciu nieznajomych. Jeden z nich mrugnął na mnie porozumiewawczo i zapytał: „Pan też?” Zimno mi się zrobiło. Zaraz mnie będą kaptować, pomyślałem.

„Grunty, że pozwolili — powiedział drugi — inaczej musielibyśmy się wypisać ze związku”.

— Z jakiego związku — zapytałem ochryplym głosem.

— Z rybackiego. — Ukłonili się i poszli śmiejąc się radośnie.

Od tej pory nie zbieram stonki, nie zbieram złomu i nie chronię domu przed pożarem. Siedzę nad rzekami, stawami i strumykami i łapię ryby. Nie lubię ryb, ale może ujawnię jakiegoś wroga. Na filmy też nie chodzę. Ale to już jest inna sprawa.

JAN ZALEWSKI

KOPCIUSZEK I KR

Z FILMEM dokumentalnym dzieje się podobnie jak z pierwszą miłością. Czasem wspomina się ją życzliwie, z łezką w oku, ale ktoś na codzień o niej pamięta? Chwile wzruszenia są przecież tak rzadkie. U nas o filmie dokumentalnym również pamięta się raczej w chwilach wzruszenia i... konieczności dziejowej. Nie mówię tu o „Kronice”. Jej rola jest jasna i trudno sobie wyobrazić seans bez przeglądu aktualnych wydarzeń. Ale film dokumentalny to już coś zupełnie innego niż kronika. Rejestruje fakty czy wydarzenia, to prawda, ale powinien jeszcze na dobitkę wzruszać na dłuższą metę, czyli wchodzić w pełne prawa sztuki. Tymczasem niejednokrotnie wydaje się, że film dokumentalny jest powrotem do rodzaju podsztyka, koniecznością, której wstydzą się władcy CUKU. Może dlatego film ten jest w sytuacji Kopciuszka z tą tylko smutną poprawką, że królewicz do tej pory się nie znalazł.

Pomówmy więc o Kopciuszku. Jest nim doskonały film Andrzeja Munka i Romualda Lesiewicza pt. „Gwiazdy muszą płonąć”. Jest prawdziwszy od wielu naszych filmów fabularnych, jest drapieżny w odkrywaniu życia — to stanowi już o jego randze artystycznej. I jest osiągnięciem — wzrusza!

Munk i Lesiewicz zbudowali swój film na kanwie pozornie publicystycznej — sytuacja w górnictwie nie zadowalająca, plan nie został wypełniony. Kto jest za to odpowiedzialny, jakie konsekwencje wynikają z tego stanu rzeczy? W hucie widzimy wielki piec przygotowany do spustu. Chwile napięcia, ładunek nie chce opaść na dół, spowodował to kiepski, nieodpowiedni gatunek węgla. Autorzy scenariusza przekonują widza, że problemy produkcyjne mogą być pasjonujące i kryje się w nich potężna doza dramatyzmu. Co autorzy scenariusza naszkicowali, umiejętnie wydobyli — realizatorzy. Nie jestem zwolenn-

ikiem takiego zjawiska, kiedy to reżyser jest jednocześnie autorem scenariusza; wydaje mi się, że to co w filmie fabularnym powinno być wyjątkiem, w filmie dokumentalnym jest regułą. Potwierdza to przykład Munka i Lesiewicza, świetnych scenarzystów i doskonałych realizatorów, którym z wielką pomocą przychodził operatorzy Zestawmy ujęcia huty w „Gwiazdy muszą płonąć” i „Niedaleko od Warszawy”, by stwierdzić co znaczy oko operatora. Jednakże tu spotyka nas pewne rozczarowanie, bowiem jeden i ten sam operator (Kropat) brał udział w zdjęciach do obu tych filmów. A zatem pomoc reżyserów, ich zapal potrafił natchnąć operatora poezją w pierwszym przypadku, podczas gdy w drugim — podsunął mu ujęcia banalne, sztywne. A może winien jest scenarzysta? Brak bowiem zainteresowania dla tematu odbija się niewątpliwie i na zdjęciach. Tymczasem w filmie „Gwiazdy muszą płonąć” zdjęcia są jednym z atutów filmu. Cezanne mawiał o słynnym malarzu Claude Monet: „To tylko oko, ale — o Boże! — co za oko!” Okazuje się, że oko operatora również ma różną skalę widzenia.

Nie tylko zdjęcia stanowią siłę filmu „Gwiazdy muszą płonąć”. Przede wszystkim film jest ciekawy, ba, nawet intrygujący, podmalowany poza tym dyskretnym humorem i liryczną łezką. Czegoż więcej trzeba do zrobienia dobrego filmu? Aha, jeszcze aktorów. W filmie Munka i Lesiewicza nie ma „gwiazd”, są zwykli prości ludzie, ale jakie to wyraziste twarze! Jest to przecież film niemy, gdzie dialog jest czymś wtórnym, koniecznym na tyle, na ile konieczny jest gest, więc aktorzy muszą oddziaływać mimi-ką. Uda się im to w zupełności, nie ma w nich fałszywej gry, czujemy powiew życia. To dużo. Kto wie, czy to nie decyduje o sensie artystycznym i politycznym filmu, z którego wychodzimy głęboko prze-

POD GWIAZDĄ FRYGIJSKĄ

Dwa fotosy ze znakomitego filmu Kawalerowicza według powieści Neverly'ego. Napiszemy o nim osobno w następnym numerze „Świata Filmu“.



konani, że tak było, że ten film jest wycinkiem prawdziwego życia i że gwiazdy na pewno zapłoną! Świetna muzyka Jana Krenza nie jest tylko tłem, lecz współdziała w akcji tyleż, co inne elementy filmu.

Głęboka wartość poznawcza filmu Munka i Lesiewiczza sprawia, że staje on w rzędzie najwybitniejszych filmów powojennych, zaś kwestia czy jest to film fabularny czy dokumentalny jest w zasadzie obojętna. Podział gatunków w świecie wielkiej sztuki nie obowiązuje, bywa użyteczny tylko przy ocenie dzieł miernych.

Obok kanwy publicystycznej film Munka i Lesiewiczza daje dwie anegdoty ściśle wypełniające jej postulaty i odpowiadające na pytanie jak zaradzić i walczyć z niewypełnianiem planu. Pierwsza z nich opowiada o poszukiwaniach węgla na starych, eksploatowanych przed stu laty pokładach w kopalni Zagórze. Osłą drugiej historii jest „kryzys” transportowy w kopalni Miłkowice. Te dwie historie dyskretnie splatają się, dramatyzm pierwszej tonuje liryzm drugiej! Obie wzajemnie się dopełniają. Pokazanie przez Munka i Lesiewiczza socjalistycznego stosunku człowieka do miejsca pracy, jego przywiązanie i poczucie odpowiedzialności stanowią wielkie osiągnięcie scenarzystów i realizatorów.

Film dokumentalny jest u nas jeszcze Kopciuszkiem. Munk i Lesiewicz przekonali nas, że ma za datki na Królową pod warunkiem, by potraktować go serio. A traktować serio to znaczy umożliwić realizację jak największej liczby odważnych, ujmujących prawdziwe życie filmów. Przecież dobry film dokumentalny to awangarda całej kinematografii.

Niech więc zapłoną gwiazdy filmu dokumentalnego!

LESŁAW BARTELSKI



Z WIZYTĄ U FILMOWCÓW CZECHOSŁOWACKICH

Kin w Pradze Czeskiej jest osiemdziesiąt (ogarnia mnie piękne uczucie zazdrości!).

Przy takiej ilości sal słuszną wydaje się ciekawa polityka specjalizacji kin, nawet tych, które wyświetlają tylko filmy fabularne. Jedne specjalizują się w wielkich obrazach epickich; inne w bardziej kameralnych, psychologicznych dramatach; inne jeszcze w komediach. Ponadto są specjalne kina dla młodzieży i dla dzieci oraz doskonale prosperujące kina aktualności, a nawet osobne „kino sportowe“.

Tajemnica frekwencji? Prosta. Programy kin aktualności są tak różnorodne (gatunkowo i geograficznie), że zniechęcają wprost do kupienia biletu, w przeciwieństwie do naszych kin aktualności, wstawionych swymi usypiającymi zestawami. A kina sportowe? Reportaż z nieczekanego przecież meczu piłkarskiego Węgry — Anglia (7:1) wyświetlany był w Pradze w 10 dni po meczu. Któż by się oparł pokusie?

Ale porozmawiajmy chwilę o samej kinematografii czeskosłowackiej. Czescy gospodarze zwracają nam uwagę na duży sukces nowego filmu „Księżyc nad rzeką“ reż. W. Kraski. Jest to adaptacja powieści wybitnego czeskiego pisarza realistę, F. Szramka.

Rzecz jest świetnie osadzona w dusznych realiach prowincjonalnego miasteczka z lat dwudziestych, w którym sklepik z papeterią prowadzi stary Hlubina, „orzeł z podciętymi skrzydłami“, niegdyś farys, prymus i geniusz, potem wessany w małomiasteczkowość przez mariaż z ograniczoną mieszczką.

Odbywa się akurat zjazd abiturientów, na który przybywa z synem kolega szkolny Hlubiny, Roszkot, nie mogący się nadziwić, że tak nisko upadł jego druh. Starzy idą na bankiet, a młodzik, któremu w uszach „dzwonią wszystkie dzwony świata“ zabawia starszą od niego Hlubinównę. Najpierw wydaje mu się, że to gęś, ale dziewczyna jest mocno niegłupia, bardzo uczuciowa. Przy księżycu rodzi się miłość, silna, wzajemna. Ale Sławka subtelnie, delikatnie wyrzeka się jej. Zbyt dobrze zna nieciekawe losy swych rodziców i nie chce ich powtórzenia. Cały dramat oparty jest na podtekście, półtonach.

Karkołomną, górska serpentyną wjeżdżamy na Barrandov. Panujemy nad Wełtawą, podziwiamy rozciągniętą jak na dłoni ogromną Zlatą Prahu. Nam wojna niszczyła do cna i te prymitywne ateliery filmowe, które istniały przed wojną w Warszawie. Barrandov i Hostivarz razem — dwa przedmieścia Pragi — to jedenaście wielkich hal zdjęciowych. U nas — trzy... (Znow ta brzydka zazdrość!).

Przekraczamy brame wytwórni. Króluje tu tematyka historyczna, filmy współczesne wyjechały na plenery, „w teren“. Historia dosłownie króluje, bo centralną rolę zajmuje wielka dekoracja do filmu „Był sobie jeden król“ z Werlichem (skrzyżowanie bajki „O dumnej królowie“ i satyry o „Cesarzkim piekarzu“). Pod gołym niebem imponują kolosalne dekoracje do „Jana Husa“ (włernie odtworzony Rynek Staromiejski w XV w.) oraz XIX-wieczna wieś czeska z „Psiogłowców“ wg. powieści Jiraska. Wiele jest z tym kłopotu, by spoza kamienia Staromiejskiego Rynku nie wyrósł nagle stup wysokiego napięcia, ani daleki widok nowoczesnej Pragi. Uznaje historyczną ścisłość oglądanych makiet, wydają mi się jednak za świeże, bez romantycznego polotu. Wolę nasze dekoracje.

W jednej z hal pełno życia i ruchu. Trwają zdjęcia do filmu sensacyjnego „Obcym wstęp wzbroniony“.

Scena rozgrywa się w wiejskiej gospodzie. Znany nam z „Frony“ aktor Lackovcz ubrany jest tym razem w mundur wojskowy. „Obcym wstęp wzbroniony“ to pierwszy film fabularny, który produkowany jest nie, jak zwykle, przez Československy Státní Film, ale przez młodą ekipę Filmu Wojskowego. Wojskowi absolwenci praskiej Szkoły Filmowej, już nawet laureaci nagród państwowych, robili dotąd tylko krótkie metraże i filmy dokumentalne.

Pytam o ten eksperyment rektora Szkoły Filmowej prof. Brousila.

— Dobrze! — powiada. — Niech im robią konkurencję, tym starym!

Brousil prezentuje nam dowcipnie pomyślaną wystawę Szkoły Filmowej, w której studium przedstawicieli kilku państw (Polacy także). Nas interesują szczególnie doświadczenia studentów z filmem barwnym, tu bowiem pozostaliśmy daleko w tyle. I jeszcze raz owa niska zazdrość! Najbardziej jednak zazdrościć gospodarzom nie nowoczesnych laboratorii taśmy kolorowej, nie 70.000 kostiumów i chyba miliona innych rekwizytów, zebranych w magazynach Barrandova, tylko ich ogólnej mocy produkcyjnej.



Artysta narodowy Zdenek Stepanek w roli tytułowej przygotowywanego filmu o Mistrzu Janie Husie.

W tym roku chcą zrobić 15 filmów fabularnych, a to jest daleko poniżej ich możliwości. Po prostu nie mają więcej dobrych scenariuszy. My przy najwyższym wysiłku technicznym zrobimy 10. Dobrych scenariuszy mamy więcej, niż możemy wyprodukować filmów.

Niepodobna nie wspomnieć o jednym jeszcze z wrzaw praskich. Na ulicy Maleszickiej na dalekim Zlitzkovie w niewielkiej willi mieści się Státní Filmový Archiv.

Wyobraźcie sobie człowieka, którego po długotrwałym poście posadzono przy ogromnym stole, zastawionym dwoma tysiącami najwspanialszych dań. Na długich rzędach półek piętrzy się 2 000 najwybitniejszych arcydzieł z historii kinematografii.

Archiwum czeskie nie tylko skłonne jest wypożyczać nam poszczególne pozycje dla celów naukowych, ale chętnie pozwoli nam skoplować każdy z posiadanych filmów (ba, niektóre podwójne kopie gotowe jest przekazać nam po prostu w formie daru!), dla skompletowania naszego Archiwum, dla szerzenia rzetelnej wiedzy o filmie (w Szkole Filmowej i gdzie indziej), dla zgalwanizowania nieruchawej działalności klubów filmowych (wszystkie filmy „klasyczne“ wolno wyświetlać bez handlowych ograniczeń na pokazach w kinach, jako niekomercyjnych). Nie tracę nadziei, że nasze Archiwum przestanie wreszcie być magazynem, a stanie się placówką naukową i dogada się jak najszybciej z ul. Maleszicką, co daj CUKu, amen.

JERZY PŁAŻEWSKI

PO STU GRACZY Z KAŻDEJ STRONY...

PILKA toczy się przez świat. Zwycięskim szlakiem opasała cały glob. Grają nią biali, żółci, czerwoni, czarni... Gdzie szukać jej początków? Anglicy sięgnęli w tym celu do historii swego kraju i zaczęli badać dzieje okupacji duńskiej w XI wieku.

Data się ona ludności tubylczej tak bardzo we znaki, że gdy pewnego dnia — a było to lat temu z górą ośmiuset — dokopano się na jednym z pobojuwisk czaszki niewątpliwie duńskiego pochodzenia, kopacze popadli w szal i zaczęli ze złością podbijać ją nogami. Chłopców przyglądającym się tej zabawie przypadła ona tak bardzo do gustu, że zaczęli ją naśladować.

Kopanie twardej czaszki na bosaka sprawiało na dłuższą metę wątpliwą przyjemność, toteż jeden z młodzieńców wpadł na inny pomysł. Następnego dnia zastąpił ją krowim pecherzem, który nadał powietrzem. I tak oto narodziła się gra, ochrzczona nazwą „Kopanie duńskiej głowy”.

Pasjonowała ona mocno ówczesnych Anglików i wkrótce opanowała niemal cały kraj. Reguł gry nie było. Dwa sąsiadujące miasta lub dwie gminy umawiały się na określony dzień. W oznaczonym punkcie, w połowie drogi rzucano pecherz o ziemię i... rozpoczynało się kopanie symbolu znienawidzonej duńskiej głowy. W zawodach takich uczestniczyło częstokroć i po stu graczy z każdej strony. Zwyciężała „drużyna”, której

wpierw udało się nadęty pecherz wkopać do centrum osiedla przeciwnika.

A działo się to wszystko przy podniecającym zgielku i wrzawie. Zapal przeradzał się czasami w furję. Kroniki notują, że gdy grający wpadali do osiedla kopiąc zapamiętałe piłkę, siali popłoch wśród spokojnych mieszkańców: powstawała panika, sklepikarze zamykali budy, przygodni klienci kryli się w obcych mieszkaniach, by przeczekać, aż minie piłkarska zawierucha.



Rys. Bogdan Butenko

Gdy z czasem niewinna zabawa zaczęła przeradzać się w poważne awantury, pociągające za sobą straty mienia i zdrowia pechowców znajdujących się na szlaku „wielkiej gry”, wkroczyły władze. Entuzjastów „kopania duńskiej głowy” spędzono z ulic i dróg na tereny niezamieszkałe. I one to dały początek naszym dzisiejszym boiskom. Na przydzielonych placach wykreślano linie graniczne, imitujące nieprzyjacielskie miasta, a strona, która przerzuciła przez nie piłkę, uzyskiwała zwycięski punkt. Stąd już krok tylko wiodł do bramek, będących niczym innym, jak symbolem miejskich bram. Te linie graniczne i bramki stały się po wielu latach powodem wielkiej waśni i rozłamu wśród bractwa piłkarskiego, które podzieliło się na rugbyistów uznających granice i futbolistów, których fetyszem pozostała — bramka. Ale uprzedzamy fakty, które zrodziła

dopiero historia nowożytnego sportu.

W owych czasach futbolowego średniowiecza, którego postępem było już przejście na niby-boiska, nie określano liczby graczy. Jedynym warunkiem było, by z obu stron występowała ich równa liczba. Wahala się ona od 19—50.

Gra rozwijała się wspaniale, a wciąż jeszcze nie miała oficjalnej nazwy. Raz mówiono o „kopaniu duńskiej głowy”, to znów o „podbijaniu pecherza”. Dopiero w XII wieku zgodzono się na określenie „footballe”. Popularność tego „footballe” tak gwałtownie wzrastała, że król Henryk II i jego następcy raz po raz wydawali edykty zakazujące gry w kręgle, zapasów, footballe'u, walki kogutów i innych „idiotycznych gier”, które odciągają kwiat młodzieży od strzelania z łuku i rzucania oszczepami, wskutek czego „królestwo będzie w krótkim czasie, według wszelkiego prawdopodobieństwa, całkowicie ogołocone z łuczników, od czego uchowaj nas Panie”.

Edykty i groźne kary różnych Edwardów nie uchowaly Anglii od po-



Rys. Bogdan Butenko

tepieńców futbolowych; zakazy ponawiane były jeszcze przez Henryka VIII i królową Elżbietę. Ale wszystko na próżno; dopiero wpływy purytańskie w XVIII w. przygasiły na pewien czas zapal do piłki nożnej. Odżył on w całej pełni w połowie XIX wieku pod wpływem szkół angielskich, którym przypada zasługa ostatecznego ujęcia

w przepisy futbolu oraz „odszczepienca” rugby, zezwalającego na używanie rąk.

Anglikom przyznano wprawdzie prawo pierwszeństwa najpopularniejszej gry w piłkę, niemniej jednak zarówno Francja jak i Włochy mogą rościć sobie prawa do powinowactwa. Jeśli odrzucimy legendę o legionach rzymskich, które rzekomo na swych włóczęniach przeniosły piłkę na wyspy brytyjskie, to pozostaje faktem, że w wieku XVI gry piłkowe cieszyły się na Półwyspie Apenińskim wielką popularnością. Były one nawet bardziej podobne do nowoczesnej gry angielskiej, niż „kopanie duńskiej głowy”. Posiadały ściśle, unormowane przepisy, określające liczbę graczy (27 po każdej stronie) i ich funkcje. Punkty uzyskiwało się przez przerzucanie nogą lub pięścią piłki przez bramkę.

We Francji grano od wieków średnich w coś podobnego do piłki nożnej, znanej na wyspach brytyjskich. Również i tu były dwa obozy walczące o piłkę aż do chwili przeniesienia jej do jednej gminy lub parafii. Walka była zacięta i po pewnym czasie słabli na polu ostatni zawodnicy, na pół żywi z bólu i zmęczenia. Ten, który zachował resztki sił, porywał piłkę i unosił ją do granicy sąsiedniej gminy, za co otrzymywał pożądaną nagrodę.

Wróćmy do czasów nowożytnych. Pierwsza pewna wiadomość o rozegraniu zawodów międzyszkolnych w Anglii pochodzi z roku 1710. W r. 1855 założono pierwszy klub piłki nożnej, a w roku 1863 było ich już tak wiele, że przystąpiono do założenia Angielskiego Związku Piłki Nożnej, który obchodził niedawno swe dziesięciolecie. Pierwotny obecnych przepisów ułożony został przez studentów uniwersytetu Cambridge. Później ulegały one licznym przemianom, ale ich istota, tj. gra przy użyciu wyłącznie nóg i wprowadzaniu piłki do bramek, utrzymała się po dzień dzisiejszy.

Anglicy byli też propagatorami futbolu na kontynencie europejskim i w koloniach. Doczekali się tak wielkiej jego popularności, że w końcu uczniowie węgierscy dali lekcję gry starym nauczycielom, którzy obecnie mowią, jak doścignąć pojętnych uczniów — i to już nie tylko na Węgrzech, ale i w wielu innych krajach Europy i Ameryki Południowej.

TADEUSZ MALISZEWSKI

W takich kostiumach, przypominających ubrania więzienne, w czapeczkach na głowach i bez specjalnych butów, grali piłkarze angielscy w końcu XIX stulecia. Na zdjęciu z r. 1881 drużyna Harrow.



Charakterystyczne momenty z rozgrywek piłkarskich w r. 1902, kiedy sport ten zyskał już sobie wielką popularność. Wówczas piłkarze grali już w kostiumach takich samych jak dzisiaj, jedynie spodenki były nieco dłuższe.



TO CO DOBRE DLA „GENERAL MOTORS”...

Dokończenie ze str. 9

USA. Wzrasta liczba zorganizowanych chłopów, walczących przeciwko obszarnikom.

Oto okoliczności, w jakich rodzi się i potężnieje ruch narodowo-wyzwoleńczy, wyciskając coraz bardziej widome piętno na współczesnym życiu politycznym Brazylii.

General Newton Estillac Leal — były minister wojny, a obecnie dowódca wojskowy okręgu Sao Paulo, tymi słowami wyraził sens tego ruchu:

„Mówmy jasno: chcemy dokonać u siebie uprzemysłowienia w oparciu o własne surowce, na naszym własnym terytorium. Chcemy mieć własny rynek wewnętrzny dla naszych produktów. Chcemy wytwarzać własną broń i produkować własną energię elektryczną. Mamy zaufanie do zdolności naszych techników oraz sprawności naszych robotników, wierzymy, że są oni zdolni do wytwarzania mechanizmów wszelkich typów potrzebnych dla modernizacji.” („Noticias de Hoje”, Sao Paulo, 19 sierpnia 1954).

Ruch ten, na czele którego stoi Liga Usamodzielnienia Narodowego, odniósł przed rokiem walne zwycięstwo: po długiej walce doprowadził do uchwalenia ustawy, która eliminuje udział zagranicznych spółek naftowych w poszukiwaniach i eksploatacji złożów ropy naftowej w Brazylii. Ustawa ta jednocześnie wprowadza państwowy monopol naftowy — Petrobras.

W roku 1951 nasilenie ruchu związkowego i wyzwolenie wzrosło do tego stopnia, iż ówczesny prezydent Vargas nie był już w stanie rządzić jedynie przy użyciu siły. Trzeba było poczynić liczne ustępstwa i pójść na kompromisy z ludem.

Niezdolność do powstrzymania napierającej fali słusznych żądań ludu kosztowała Vargasa utratę poparcia ze strony monopolistycznych kół USA. Zagmatwany epizod policyjny z dziennikarzem Lacerdą stał się pozorem, który doprowadził w rezultacie do śmierci prezydenta, a w pałacu Catete zasiadł na jego miejscu Joao Cafe Filho.

RZĄD PREZYDENTA CAFE

„Zagraniczni kapitaliści w najbliższych miesiącach będą cieplej witani w Brazylii” — brzmiała ogłoszona w „Wall Street Journal” depesza datowana z Waszyngtonu 27 sierpnia br. Dodano w niej: „Taka jest opinia północno-amerykańskich dyplomatów w związku z nowym rządem Cafe Filho. Odnoszą oni wrażenie, iż uczyni on o wiele więcej niż Vargas, aby zachęcić businessmenów ze Stanów Zjednoczonych i z innych krajów... Spodziewają się oni, że Cafe może nawet umożliwić przedsiębiorcom zagranicznym powrót do przemysłu naftowego...”.

W gabinecie prezydenta Cafe zasiada wielu entuzjastycznych zwolenników Standard Oil i innych spółek północno-amerykańskich. Raul Fernandes i Seabra Fagundes są funkcjonariuszami Electric Bond and Share; Eugenio Gudin — nowy minister gospodarki (również związany był z tym przedsiębiorstwem) ogłosił, że sprzeciwi się wszelkiej podwyżce plac i kontroli cen. Minister rolnictwa — Eduardo Gomes — „szara eminencja” gabinetu, odegrał nader ważną rolę w puczu wojskowym, który obalił Vargasa.

TRUDNOŚCI

Czy Cafe odniesie „sukces” tam, gdzie poniósł „klęskę” Vargas?

Trudności zastał poważne, a piętrzą się one coraz bardziej: siły przeciwstawiające się jego polityce wzrastają, obejmują cały naród. Co prawda kazał on aresztować setki demonstrantów, jednakże demonstracje antyimperialistyczne trwają nadal. W mieście Recife w demonstracjach przeciwko rządowi Cafe wzięło udział 60 tysięcy osób. W Sao Paulo strajk generalny w dniu 2 września zyskał poparcie miliona robotników (ludność Sao Paulo liczy 3 miliony) i sparaliżował całkowicie życie miasta. Cóż tu jeszcze dodać? To chyba, że wola obrony swobód obywatelskich krzepnie, rozszerza się i obejmuje już różne dziedziny życia politycznego i społecznego.

W dniu 31 sierpnia Sąd Najwyższy musiał umorzyć proces przeciwko 18 przywódcom partii komunistycznej, między innymi — przeciwko samemu Prestesowi, przyznając mu wolność...

JOSE MIGUEL VARAS

SWIAT o tym wie!

W tym oto gmachu przy Ermekeilstrasse w Bonn realizowane są plany odbudowy „Wehrmacht”. Tu urzęduje Herr Blank, nieoficjalny boński minister wojny i jego najbliżsi współpracownicy, generałowie Heusinger i Speidel.

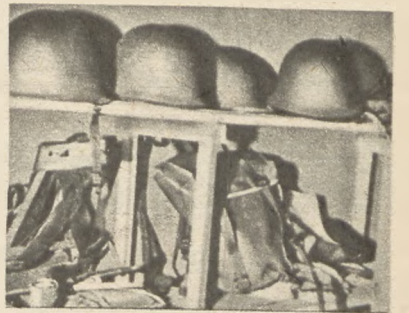
Dział zaopatrzenia armii przygotował już wzory hełmów, umundurowania i uzbrojenia. Pół miliona ludzi liczyć ma nowy „Wehrmacht” w



Heusinger, Blank, Speidel



pierwszym rzucie, według norm ustalonych na konferencji londyńskiej i paryskiej. Nikt jednak nie wierzy w skuteczność rzekomej kontroli dalszych zbrojeń zachodnio-niemieckich. Wszak Traktat Wersalski ograniczył armię niemiecką do 100.000 ludzi, a pod życzliwym okiem mocarstw zachodnich wyrósł z tego potężny „Wehrmacht” hitlerowski



ŻABI TOTALIZATOR



W Stanach Zjednoczonych znany jest w kilku miastach „sport”, który określić można jako „żabi totalizator”. Podniecone odpowiednio białe zielone żabki ustawia się na starcie. Która skoczy dalej, wygrywa. Znużeni milionerzy, entuzjaści tych zawodów, stawiają na poszczególne zwierzątka, przegrywając czasem w ten sposób znaczne sumy.

Idąc za amerykańskim przykładem — pewien przedsiębiorczy Anglik — trener — postanowił wprowadzić tę rozrywkę

i w Wielkiej Brytanii, z tą różnicą, iż żaby dokonywać miały „biegu przez płotki”.

Jak podaje zachodnio-niemiecki tygodnik „Quick”, kilkuletnie wysiłki owego trenera, który podniecał żaby czerwono-chorągiewką, spełzły na niczym. Angielskie żaby wołały stawać na głowie (patrz zdjęcie), niż biegać przez płotki. „Dało to w rezultacie — jak pisze „Quick” — trzy zdyskwalifikowane żaby oraz jednego załamanego trenera...”



DUPONT I KONIEC ŚWIATA

Firma DuPont de Nemours wybudowała sobie wspaniałe przeciwatomowe schron. Cóż, firma należy do głównych sprawców histerii wojennej w USA, więc właściwie nie bardzo należy się dziwić. Co jednak zastanawia, i nawet opinii amerykańskiej powinno dać do myślenia, to przeznaczenie schronu.

Czegóż bowiem tam nie ma! I ogrzewanie centralne, i specjalne urządzenia wentylacyjne, radiostacja nadawczo-odbiorcza, instalacje przeciwpożarowe i nawet własna mała elektrownia. „Aloś” zajmuje przestrzeń siedmiu kamieniczek.

Można by więc przypuścić, że troskliwa firma przygotowała te wspaniałe podziemia dla najcenniejszych pracowników. Albo też dla samej, licznie rozmnożonej, rodziny DuPont, głównych zbrojeniowych magnatów. Nic podobnego. Oto, jak donosi prasa nowojorska, w schronie będą ukryte księgi główne firmy i najważniejsze dokumenty handlowe, kontrakty, zwłaszcza poufne, weksle, listy dostawców i odbiorców itd.

Po co? — spyta zdumiony czytelnik. — Przecież jeśli już dojdzie do wojny atomowej...

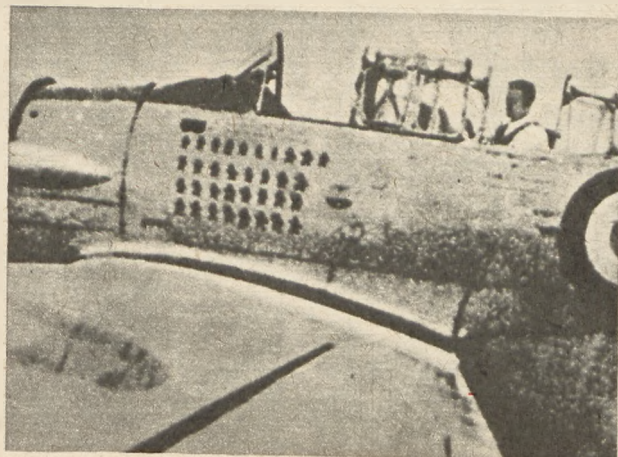
„Najważniejsze — odpowiada pan Darling, szef sekretariatu firmy DuPont — najważniejsze bodaj są księgi główne. Bo z ich pomocą, nawet w razie zniszczenia wszystkich naszych fabryk, biur i zakładów, można będzie po zakończeniu wojny nawiązać z powrotem stosunki handlowe i bez większych kłopotów prowadzić na nowo nasze interesy”.

Tak oto wyobrażają sobie bieg losów świata kierownicy dzisiejszej polityki USA. Pereat mundus, fiat DuPont — czyli — choć świat się zawali, handlarze śmierci wrócą do swego handlu...

ŁOWCY GŁÓW

nów samolotami, zaopatrzonymi w najnowocześniejsze rodzaje broni.

Czy nie przypomina Wam to września 1939 na polskich szosach?





Gdyby nasza cotygodniowa pogawędka za każdym razem zmieniała tytuł, dzisiejszą nazwałabym: „Automat z blagą”. I to też tylko przez niezrozumiałą dziennikarską delikatność. Naprawdę bowiem tytuł powinien brzmieć: „Automat z...”. Skreślił. Na „b” wolno, na „g” nie wolno. Co robić? Są słowa, których można używać tylko w gniewie, w powieści lub w szkicu literackim. W felietonie — wykluczone.

Więc niech już będzie „automat z blagą”. Trudno. I tak za chwilę sami znajdziecie właściwe określenie. Właśnie mam zamiar opowiedzieć Wam zdarzenie, jakie przytrafiło mi się przed kilku dniami.

Było to na Nowym Świecie w pobliżu ulicy Foksa. Już z daleka spostrzegłam grupę chłopców i dziewczynek nadzwyczaj czymś poruszonych. Gestykulowali żywo, co chwila wyrażając pięściami w kierunku niebieskiej szafeczki zawieszonej na murze.

— Niech ich λίγο porwie z takim automatem! — wołał jeden z chłopców.

— Mama dała mi złotówkę, bo powiedziałam, że to na miętówki — skarżyła się płaczliwie mała dziewczynka z jasnymi warkoczami.

— Żeby tak ludzi nabijać, żeby takie świństwo tu pakować — wyrzekali inni.

Nietrudno się było domyśleć, że chodzi o automat ze słodzycami, jeden z tych, jakie spółdzielnia „Gromada Inwalidzka” założyła niedawno w różnych punktach miasta. Przyszedłszy na ten dotychczas nie zainteresowałam się bliżej tą warszawską innowacją, jakkol-

wiek też byłam zdania, że pomysł sam w sobie jest godny pochwały.

Kiedy podeszłam do rozprawiających żywo dzieci, rzuciły się na mnie i o mało mnie nie przewróciły. Sądziły w pierwszej chwili, że jestem „tą od ładowania automatu”. Po chwili przekrzykując się wzajemnie zaczęły mi tłumaczyć przyczyny swego wzburzenia.

— O, proszę, tu jest napis „miętowe”. Myśli pani, że wyskoczą miętówki? Niech pani spróbuje.

Wrzuciłam złotówkę, przekreśliłam ręczkę „automatu”. Zamiast zapowiadanych „miętowych” wyskoczył płaski wafelek z napisem „kremówka śmietankowa”.

— Bycza zabawa, co? A tu, proszę pani, mają być „mleczne”. Ktoby nie chciał mlecznych dropsów? Proszę bardzo, doskonale. Jak pani bogata, to niech się pani jeszcze szarpnie na złociszka.

„Szarpnęłam się”. Wrzuciłam go do otworu, nad którym widniał napis „mleczne”, i znów przekreśliłam ręczkę. Wyskoczył identyczny wafelek.

— A to rzeczywiście brzydki kawał — przyznałam na głos ku uciesze dzieci, które ciekawie wypatrywały, jaka będzie moja reakcja. — A próbowałyście tych wafli?

— Uuuuuuu!!!

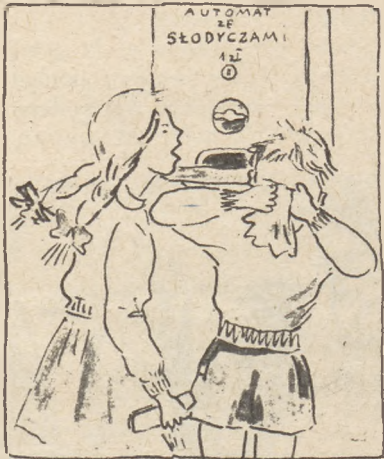
To wystarczyło za odpowiedź. Pytanie zresztą było raczej retoryczne. „Kremówka śmietankowa”, która nigdy w życiu nie leżała ani koło kremu, ani koło śmietanki, cuchnęła na odległość. Dwa kawałki andruta zlepione jakąś podejrzaną zlepczłą masą pamiętały zapewne czasy króla Cwieczka.

— Mój tatuś powiedział, że gdyby mu na dwa dni przed pierwszym proponowali 50 zł za zjedzenie takiego wafła, to by go do ust nie wziął.

— A ja proszę pani, to tylko raz się nabrałem na ten automat. Więcej już nie będę próbował, nie ma głupich!

— Proszę pani, co ja teraz powiem mamusi? Miałam zagrać na automacie i przynieść miętówki. Dlaczego oni tak ludzi kantuja, proszę pani?

Nie umiałam odpowiedzieć dziewczynce z jasnymi warkoczami, więc tylko na poclechę kupiłam jej w najbliższym kiosku paczuszkę miętowych dropsów. A odpowiedź niech jej udzieli spółdzielnia „Gromada Inwalidzka”, która co innego obiecuje, a co innego daje, oraz spółdzielnia, która firmuje paskudne „kremówki śmietankowe”.



Od i do Czytelników

Zainicjowana przez redakcję wymiana myśli na temat żywszego, bardziej aktywnego stosunku Czytelników do naszego tygodnika, przynosi dalsze głosy. Oto, co pisze Ob. S. Czaplicki z Warszawy:

„Jeśli dobrze zrozumiałem „wezwanie” — Czytelników „ŚWIATA” spotkał zarzut obojętności wobec pisma, a to dlatego, że zbyt mało piszą oni o tych sprawach, które poruszane są w Waszym tygodniku. Prawdopodobnie tak jest, skoro z tym wystąpiłście. Ale ja chciałbym stanąć w obronie — sądzę, że nie tylko swojej osoby, ale innych Waszych stałych sympatyków. Otóż ta bierność, wydaje mi się, nie jest skutkiem tego, że zamieszczacie nieciekawe artykuły, albo że „ŚWIATA” się nie czyta z zainteresowaniem (przecież ciągle trudno go nabyć w kioskach), ale dlatego, że w niewielkim stopniu poruszacie tematy bezpośrednio związane ze sprawami obywateli naszego kraju. Te sprawy są różne. Na przykład: zaopatrzenie rynku w towary konsumpcyjne, kłopoty mieszkaniowe, wychowanie naszych dzieci, tępota biurokratów itd. itd. Jeśli idzie o te sprawy, Czytelnicy „ŚWIATA” piszą do gazet, które czytają w swoim terenie, ponieważ wydaje im się, że wasze łamy tym sprawom nie służą. Jeśli tak nie jest, to znaczy, że nie potrafiliście dobrze zaakcentować takich pozycji, albo je zbyt rzadko dajecie, kiedy nie pobudzają Czytelników do zajęcia stanowiska.

Jeśli idzie o moje zdanie, to ja czytam „ŚWIAT” z przyjemnością, w sobotę albo w niedzielę; znajduję w nim dużo interesujących korespondencji i felietonów, ale nie widzę powodu, abym musiał zaraz pisać do Was w związku np. z reportażem Podkowińskiego z Berlina, czy reportażem Janickiego z Nowej Huty. I nie zarzucajcie mi, że czytam „biernie”, bo zastanawiam się nad każdym artykułem, oceniam go według własnej wiedzy i upodobania do takiego czy innego rodzaju lektury. Ale pisać do Was o tych wrażeniach nie uważałem nigdy za stosowne. I dlatego pozwólcie, że na zakończenie określe Wam może jaśniej mój pogląd na to zagadnienie.

Przed wszystkim typ „ŚWIATA” jako tygodnika jest taki, że służy on i zaspokojeniu pewnej potrzeby wiadomości z kraju i ze świata, poszerzeniu także wiedzy politycznej, ale służy również jako rozrywka, kulturalny sposób spędzenia czasu nad interesującą lekturą. Z tego chyba też charakteru Waszego pisma wypływa właśnie brak tych listów, o które Wam chodzi, a które domagają się zazwyczaj interwencji redakcji w sprawach codziennych trosk i kłopotów. Jeśli te sprawy będziecie poruszać, to na pewno otrzymacie określoną korespondencję. Mnie osobiście wystarczy ten sposób obcowania ze „ŚWIATEM” jaki stosuję obecnie.

Zasylam serdeczne pozdrowienia
S. Czaplicki, Warszawa

W wierszu Stephana Hermlina „Aurora” w przekładzie Andrzeja Wirtha („Świat” Nr 45 (172) z 7 listopada br.) opuszczono jedną linijkę trzeciej strofy, która powinna brzmieć:

Z jednym, co wiedział więcej,
panowie obeszl się srodze,
jeszcze tej nocy wisiał
na słupie przy polnej drodze.
Ale chłopci byli ciekawi,
czy z ziemi ustąpią dziedzice,
a robotnicy w szynelach,
czy się coś zmieni w fabryce.

Zniekształceniu uległa również pierwsza strofa trzeciej części. Oto jej właściwe brzmienie:

Każdy sobie pomnikiem —
Kroczyły żelazne dnie
przez kraj, w którym krawoznik
jak jutrzienka się zwie.

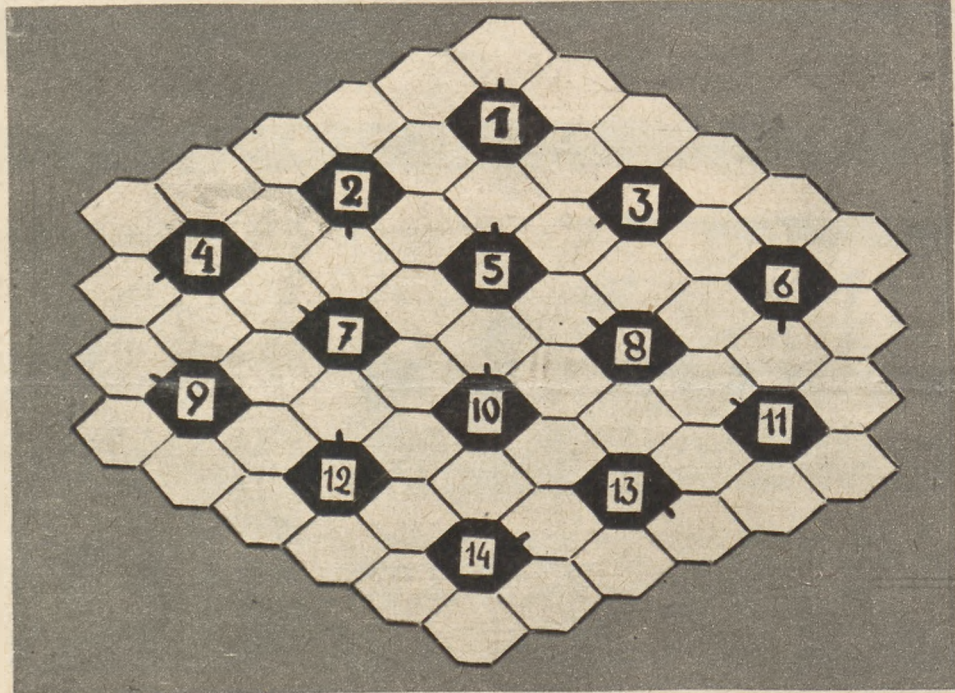
ROZRYWKI UMYSŁOWE

WIRÓWKA

Dookoła liczb wpisać 14 wyrazów sześcioliterowych o podobnych znaczeniach. Początek wpisywania każdego wyrazu w polu oznaczonym kreseczką, kierunek wpisywania zgodny z ruchem wskazówek zegara.

Znaczenie wyrazów:
1) Barwnik czerwony. 2) Renoma „reputacja”. 3) W mitologii greckiej: bogini zemsty. 4) Jeden ze znaków przestankowych. 5) Brunatny syrop powstający przy produkcji cukru z buraków. 6) Zagadka. 7) Laska, szczudło. 8) Nożyk chirurgiczny. 9) Rodzaj tektury. 10) Postać ludzka rzeźbiona z kamienia, służąca jako ozdoba architektoniczna. 11) Materiał budowlany. 12) Rzadkość, osobliwość. 13) Talizman, maskotka. 14) Rzecz niedościgną, mrzonka.

(„Spart” — Cieplice)
Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesłają prawidłowe rozwiązania, rozlosowane zostaną nagrody książkowe.



LENGREN



— ...A teraz oddaję słuchawkę tatusiowi, który chce panią poprosić o zwolnienie mnie z zajęć popołudniowych.

SZACHY

MECZ SZACHOWY „ŚWIAT” — CZYTELNICZY

Zgodnie z zapowiedzią zamieszczamy dziś z komentarzem pierwszą z partii naszego meczu — partię W1.

Gambit hetmański

Białe: Redakcja „Świata”

Czarne: Czytelnicy

1. d2—d4 d7—d5 2. c2—c4 e7—e6 3. Sb1—c3 Sg8—f6 4. Gc1—g5 Gf8—e7 5. e2—e3 0—0 6. Sg1—f3 Sb8—d7 7. Wa1—c1 c7—c6 8. Gf1—d3 d5:c4 9. Gd3:c4 h7—h6

Najczęściej stosowaną obroną w tym wariantcie jest manewr wprowadzony przez Capablanca. Polega on na wymianie czarnopolowych gońców i na szybkim zagraniu e6—e5: 9... Sd5 10. G:e7 H:e7 11. 0—0 S:c3 W:c3 e5. Posunięcie 9... h6 jest słabe, gdyż w jego rezultacie białe unikną wymiany gońców, przeciwdziałając jednocześnie ruchowi e6—e5.

10. Gg5—h4 Sf6—d5 11. Gh4:g3 b7—b5

Czarne szukają kontrgry na skrzydle hetmańskim. Należało jednak grać 11... b6, dając do c6—c5. Posunięciem w tekście czarne osłabiają bardzo piony hetmańskiego skrzydła, co będą odczuwać w ciągu całej partii.

12. Gc4—d3 Gc8—b7 13. 0—0 b5—b4

Zagraniem to prowadzi do jeszcze większego osłabienia pionów. Trudno tu jednak doradzić jakiś dobry plan.

Na 13... a6 z zamiarem zagrania 14... c5 nastąpiłoby podobnie jak w partii 14. Se4 Wc8 15. Sd6 itd.

14. Sc3—e4 a7—a5 15. Se4—d6 Ge7:d6 16. Gg3:d6 Wf8—e8 17. e3—e4 Sd5—e7 18. a2—a3 Se7—c8 19. Gd6—c5 Sd7:c5 20. Wc1:c5

Czarnym udało się zlikwidować groźnego gońca, ale słaby pion c6 pozostał.

20... Sc8—e7 21. Hd1—a4 b4:a3 22. b2:a3 Se7—g6 23. Wf1—b1 Hd8—c7 24. Sf3—d2 Sg6—f4

Na 24... e5 mogło nastąpić 25. d5 Wed8 (25... Hd6 26. W:a5) 26. Sc4

25. Gd3—f1 Wa8—a7

Czarne przygotowują się do obrony piona a5.

26. Sd2—c4 We8—a8 27. Sc4—e5 Wa8—c8 28. Wb1—c1 Hc7—b6

Skoro piona i tak już nie można obronić, lepiej było odejść hetmanem na d8. Teraz białe mają wybór: czy wziąć piona a5, czy też c6.

29. g2—g3 Sf4—g6 30. Se5—c4 Hb6—d8 31. Wc5:a5 Wa7:a5 32. Sc4:a5 Hd8—b6 33. Ha4—b4

Z pionem więcej białe chętnie godzą się na wymianę hetmanów.

33... Hb6:b4 34. a3:b4 Gb7—a8

Lub 34... Wb8 35. b5 c:b5 36. W:b5 Wc8 37. W:c8 G:c8 38. Wb8—d8 39. Sc4 40. Sb6.

35. b4—b5 Sg6—e7 36. b5—b6 Wc8—b8 37. b6—b7 Wb8:b7

Po 37... G:b7 38. Wb1 czarne traciły figurę.

38. Sa5:b7 Ga8:b7 39. Wc1—b1 Gb7—c8 40. Wb1—b8 Kg8—h7

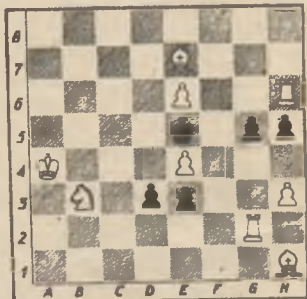
Groziło 41. Ga6.

41. f2—f3 Kh7—g6 42. Kg1—f2 f7—f5 43. Kf2—e3 Kg6—f6 44. h2—h4 g7—g5 45. h4:g5+ h6:g5 46. Gf1—e4

Czarne nie dostrzegają grożącej kombinacji. Partia zresztą i po stosunkowo lepszym 46. f:e4 była nie do utrzymania.

46... Kf6—g6 47. Wb8:c8! Se7—c8 48. Gc4:e6 Sc8—d6 49. e4:f5+ Sd6:f5 50. Ge6:f5+ Kg6—f5 51. Ke3—d3 Kf5—e6 52. Kd3—c4 Ke6—d6 53. f3—f4 g5—f4 54. g3:f4 Kd6—e6 55. Kc4—c5 i czarne poddały się.

ZADANIE POZAKONKURSOWE W. Szif



Mat w 3 posunięciach

SWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje komitet

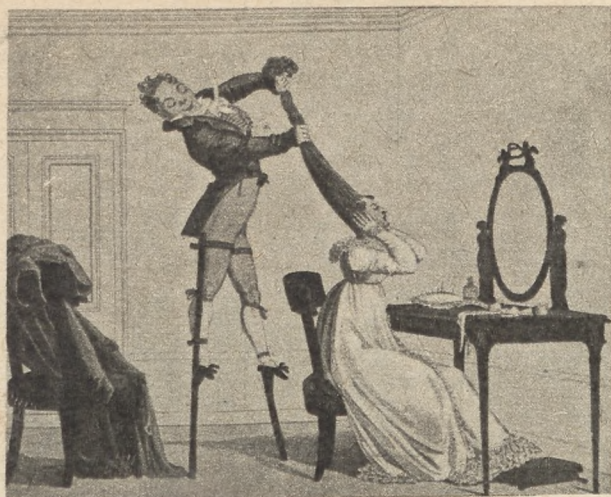
Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy Świat 58. Telefon: Red. Naczelny: 6-41-64. Centrala 6-41-02, 6-41-23. Administracja: Warszawa, Wiejska 12, tel. 8-24-11. Prenumerata miesięczna zł 4,80, kwartalna zł 14,40, półroczna zł 28,80, roczna zł 57,60.

Informacji w sprawie prenumeraty opłacanej w kraju ze zleceniem wysyłki za granicę udziela oraz zamówienia przyjmuje Oddział Wydawnictw Zagranicznych PPK „Ruch” Sekcja Eksportu — Warszawa, Aleje Jerolimskie 119, tel. 805-05.

Zakłady Wkłódodrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa” Warszawa, Okopowa 58/72.

Zam. nr 637 Papier rotogr. V/80—82 cm — 5-B-30921 podpisano do druku 10.11.54 r.



OWAL TWARZY DECYDUJE O RODZAJU UCZESANIA



Przedwczoraj;
DZIŚ



CZY UMIESZ PIELEGNOWAĆ WŁOSY?

Właściwe mycie włosów i częste szczotkowanie, to dwa warunki niezbędne dla ładnej fryzury.

MYCIE: Dobrze ciepłą wodą zmocz włosy i wylej na nie połowę przygotowanego szamponu lub rozpuszczonego mydła. Rozprowadź mydło po włosach i bez wcierania (piany nie będzie, bo włosy są brudne) szybko, kilkakrotnie spłucz gorącą wodą. Następnie wylej na włosy drugą część mydła. Teraz wcieraj mydło dokładnie, by utworzyło się jak najwięcej piany. Masuj skórę

re głowy. Spłucz kilkakrotnie.

SZCZOTKOWANIE: Jeżeli chcesz mieć piękne, elastyczne włosy, musisz je szczotkować przynajmniej dwa razy dziennie. Rano i wieczorem przed pójściem spać. Szczotka drucziana służy jedynie do rozczesywania włosów i do masażu skóry. Szczotka szczecinowa służy do szczotkowania włosów. Do szczotkowania używaj wyłącznie szczotki nie druczanej!

Jak często myć włosy? Co tydzień, lub raz na 10 dni.

Co robić, gdy włosy szybko się tłuszcza? Przez cztery tygodnie, co tydzień, myj włosy tylko w 2 żółtkach, które doskonale się rozpleniają. Nie używaj mydła, ani octu. Mycie żółtkami zaleca się wszystkim kobietom. Żółtka są doskonałą odżywką dla włosów, zwłaszcza póki nasz przemysł nie fabrykuje specjalnych witamin przeznaczonych dla włosów (jak to się robi np. w Czechosłowacji).



Chcemy od przemysłu?



dla wszystkich kobiet pracujących — nylonowej bielizny wypranej i suchej w ciągu 1/2 godziny...

Jednym z najczęściej powtarzających się widoków w naszym życiu, stale nam towarzyszącym, wbrew chęciom, czy też zgodnie z nimi — jest odbicie własnej twarzy w lustrze. Prawdopodobnie z naszej kobiecej natury, skłonnej do zmienności, płynie fakt, że lubimy różnorodność we fryzurach, dzięki której z owego lustra patrzy na nas własna twarz odmieniona.

Ale na jaką nową fryzurę się zdecydować? Jak znaleźć tę najmodniejszą bez ryzyka, że będzie „nie do twarzy”? Moda w uczesaniach, tak jak i moda w ubiorach, ukazuje nam ze stronic żurnaliów przede wszystkim ogólną linię sylwetki. W gruncie rzeczy wdzięczne modelki fotografowane w żurnalach są właściwie symbolami, wskazującymi zasadniczy styl ubrania i pewną liczbę szczegółów lub pomysłów, które proporcjonalnie do możliwości możemy stosować w życiu. Dlatego mówię, że owe sylwetki żurnalowe są symboliczne? Bo jest nie do pomyślenia, żeby ulice nasze, biura, fabryki, czy cukiernie zaludnił tłum kobiet z równie sztucznym wyrazem twarzy, z nieuchronnie podniesionymi brwiami, zastyga-

jących w nienaturalnych pozach, najczęściej w żurnalowym „rozroku”, który możliwy jest jedynie tam i na gimnastyce...

O MODZIE i uczesaniu

dnostajne w pozach fotografie modelek, ujednolicony wyraz twarzy, jakby „znormalizowanie” sylwetki, służą przede wszystkim do tym wyrażniejszego pokazania ogólnej linii, panującej w modzie.

Moda ta zresztą liczy się bardzo z wymaganiami życia, liczy się o wiele więcej niżby to wydawało się przygodnej obserwatorce. Olbrzymia liczba kobiet na świecie — to kobiety pracujące. Stąd macie modę krótkich włosów, stąd moda chodzenia bez kapelusza przez wiele miesięcy w roku, stąd moda niskiego obcasa, czy pół-słupka. A więc „szybko” i „wygodnie”. Stąd mamy modę nylonowej bielizny, której wypranie zabiera 10 minut czasu, wyschnięcie 20 minut, a prasowanie odpada całkowicie.

Przy wyborze uczesania pamiętajcie, że decyduje tu owal waszej twarzy. Przy farbowaniu włosów — decyduje kolor cery, przy doborze

pomadki do ust decyduje kolor waszych oczu.

Jeżeli masz cerę tak zwaną „bez kolorów”, skłonna jesteś do tego co nazywamy „szarym wyglądem” lub „zielonym” — nie tleń włosów na jasno! Cera twoja będzie wyglądała jak brudna, postarzysz się niepotrzebnie, a rażąca nienaturalność włosów przypomni patrzącym na ciebie... perukę Lohengrina...

Dalej, wspomniałam o pomadkach do ust. Jest omalże reguła, że kobiety o jasnych oczach (bez względu na kolor włosów) powinny używać pomadek jasnych, a kobiety o ciemnych oczach — pomadek ciemnych. Jeżeli nie wierzyacie — zapytajcie szatynek lub brunetek o jasnych oczach — z pewnością odpowiedzą wam, że mam rację.

Dzisiejsza moda jest modą naturalności. Stosuj więc malowanie z umiarem. Jeżeli malujesz rzęsy tuszem — nie maluj nigdy dolnych rzęs. Postarza zawsze, a brudzi często.

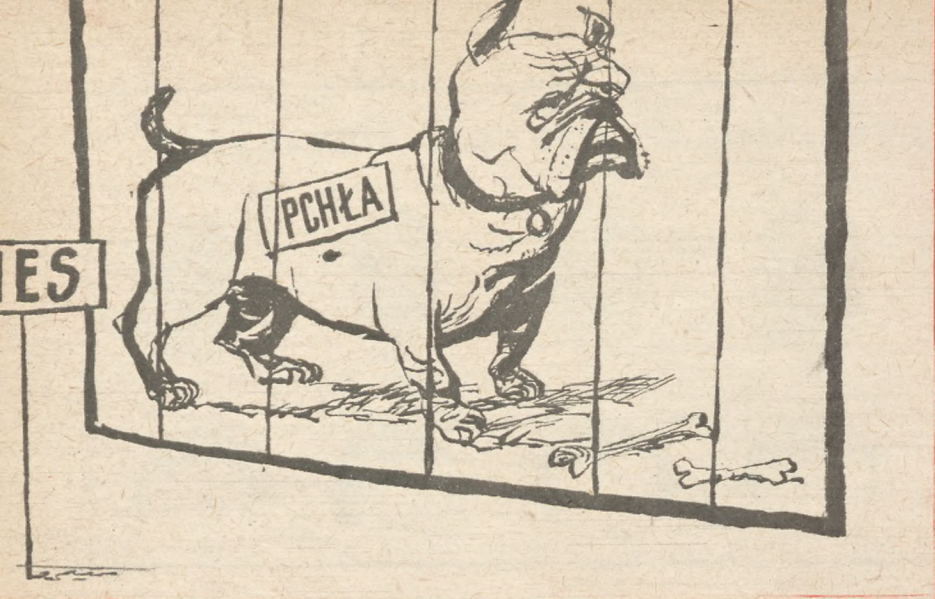
Jeżeli malujesz usta — nie gładź do kąca i ków, nigdy poza naturalną linię warg. Przy czym miej litość nad praczką i po namalowaniu odcisnij usta na kawałku bibułki, nie smaruj zbyt mocno serwetki lub chustki do nosa pomadką, tak trudną do wyprania!

Cały twój dyskretny maquillage ma na celu podkreślenie ładnych cech twojej twarzy tak, by nie zabrać jej nic z naturalności. Tego chce dzisiejsza moda i dobrze Ci życząc.

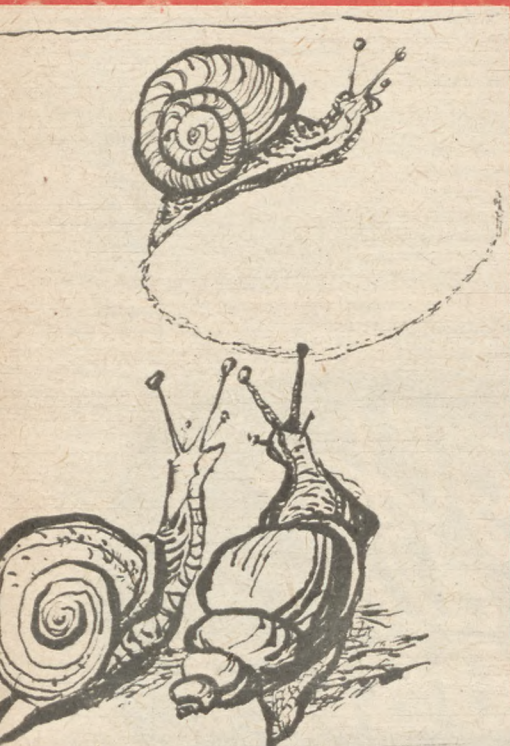
Anna Ziobrowska

PIĘCIORO PRZYKAZAŃ LUDZKICH

- 1) Dla prawdziwej elegancji nie wystarczy być elegancko ubraną. Trzeba jeszcze umieć o tym zapomnieć. (Swoboda ruchów, naturalność zachowania).
- 2) Elegancja? Tak, ale nie „tania” i nie „za każdą cenę”. (Na przykład kosztem odżywiania).
- 3) Lekier na paznokciu ma przykrywać wyłącznie paznokcie. Nie zastępuje szczotki do paznokci.
- 4) Pomyśl, co byłoby, gdyby krawcowe lub spódnicze nie w których się ubierasz wydawały swoje pamiętniki. Jakże wspomnienie poświęcono by tam tobie? Szanuj czas bliźniego! Oceniaj ciepłotą!
- 5) Pamiętaj, że na 10 prawdziwych mężczyzn przynajmniej 10 zauważy czy jesteś miła lub ładna, a ani jeden — w co byś była ubrana. Nie przeceniaj stroju!



OD PCHŁY DO SŁONIA



— Jest strasznie zdenerwowany; od miesiąca biega w kółko jak szalony.



— I ty jej wierzysz?. To farbowane króliki.



— Ten, jak zwykle zalany, wraca przodem.



— A mnie portretował Picasso!



— Psiakrew! Co ja jeszcze miałem dzisiaj załatwić?



Ignorant.